

ZDROJ



*Drugietygodnik ilustrowany
poświęcony Sztuce i Kulturze*

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 20 marek, **kwartalna** — 10 marek
Zeszyt pojedynczy 3 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACYA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusye na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.



Wykwintną brylantową biżuterję, znakomite zegarki

poleca

W. SCHULTZ W POZNANIU

Nowa ul. 8., w Bazarze.

— — —
Tel. 1484.

— — —
Rok założ. 1873.



„Westa“

Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia
1873

w Poznaniu

Rok założenia
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia
na **dożycie**, na **wypadek śmierci**, na
posag z rewizją lekarską i bez rewizji

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie
— od spłaty składek i płatność renty —

Nizkie składki

wzrastające dywidendy

dogodne warunki

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się
— i w czasie wojny —

Siedziba dyrekcyi w Poznaniu
w własnym gmachu św. Marcin 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 31
Agencye specjalne w każdym większym mieście.



załatwia z członkami wszelkie interesa bankierskie.

Pożyczki na przystępnych i dogodnych warunkach.

Papier wartościowe jako pewna i korzystna lokacja
kapitałów.

Rachunki czekowe z wielkimi dogodnościami dla wpłat
i wypłat.

Udziały członków przynosiły 8 procent dywidendy.

Wkłady i oszczędności oprocentowuje od dnia złożenia
pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalza).

ZDRÓJ

ROK 2
STYCZEŃ 1918
ZESZYT 2

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Poeta a świat — Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Z „Genezis z ducha” — Juliusz Słowacki. Obrachunki (DOK.) — Stanisław Przybyszewski. U poetów — Miriam. Opowieść rybalt (powieść — C. D.) — Wacław Berent. Ogrodnik — Rabindranath Tagore — spoliczył Jan Kasprzycz. Tulacz — Jerzy Drobniak. Z cyklu: Czerwone światło ogniska: Dym — Arkady Fiedler. Kościuszkę w świetle mesyanizmu polskiego (DOK.) — Józef Komenda. Dyabli Młyn — Witold Bunkiewicz. Miscellanea.

RYCINY: Rysunek I. II. III. — Władysław Skotarek. Inicjały i winiety wykonał Jerzy Hulewicz.

POETA A ŚWIAT.

Odpowiedź na list otwarty redakcyi „Zdroju” do Wiktora Gomulickiego („Zdrój” Tom I., str. 129.)



Poeta a świat, jest pytaniem, które postawił sobie zapewne już pierwszy człowiek, kiedy miał do wyboru trudną, ale owocną pracę wyżywienia i przypatrywania się pięknym ptakom na drzewie. To przypatrywanie się wydawało mu się bezcelowem; jeżeli kiedy wpadł przez nie do błota, śmiesznem; jeśli zaś zdarzyło mu się być wskutek tego zajęciem głodnym, nawet zgoła szkodliwym. Aliści przekonał on się, gdy mu się przytrafiło pięknego ptaka — następstwo patrzenia nań — zabić, że w jego piórach na głowie jest mu do twarzy i że się podoba lepiej swej towarzyszcze. Otóż obok pracy żywiącej począł on podejmować drugi trud: łowienia pięknych ptaków. I tak praca jego popłynęła dwoma korytami: jednym, wyłącznie potrzebnem, koniecznem, praktycznem, drugim korytem marzenia, marzenia o pięknie, które jego samego upiększało. Weźmy, że kładąc piękne pióra na głowę starał się być czystszy, że kładł je dla ozdoby także swej towarzyszcze, a wtedy więcej się nią zachwycał.

Z kolei pośród dzieci przypuszczalnego takiego człowieka jedne okazywały więcej usposobienia do żywiącej pracy, drugie do zdobienia siebie i innych — z kolei wynikły różnice między mężczyzną, który żywił, i między mężczyzną, który zdobił. Naturalnie: wobec warunków życia ludzi pracy urosła liczba, gdy ludzi piękna mogła istnieć wśród nich tylko szczupła garstka. Wówczas to ludzie pracy zaczęli się zastanawiać nad wartością własną i wartością ludzi zdobnictwa.

Człowiek piękna oddalał się coraz bardziej od rzeczywistości realnej — marzył, śnił, szukał coraz nowych form piękności natury, a poczuwszy się w mocy, począł tworzyć nowe, własne. Wówczas stała się wyraźna granica między człowiekiem, użytkującym dobra dane, leżące, do odkrycia i pojęcia — i człowiekiem,

który miał talent z niczego tworzyć coś, czyli wytwarzać (śnuć) z siebie. Tu wydaje mi się być ugruntowanym zapytanie, na które redakcja „Zdroju” zażądała odpowiedzi: „Poeta a Świat”. Poeta ogarnął duszę ludzką — prze ją w tęsknotę; zjaw, która ma własność światła rzuconego z reflektoru: rozszerza się i świeci, rozkaiając widok daleko. Właściwie człowiekowi jest pragnienie, osiągnąć. Poeta prze świat coraz dalej, stawia mu ideały dostrzegalne w oddali, każe mu obok trudu pracy żywiącej dążyć do nich, a świat zastanawia się nad wartością własną i wartością poety. Wobec olbrzymiej budowli pracy konieczności życiowej z ziemi zrodzonej: żali, o ile, jak potrzebną jest twórczość w duszy zrodzona i dusze zajmująca? Jeżeli u pierwotnego człowieka powstawało pytanie: przyniosłem ci kość namalowaną jeleniem, daj mi pieczonego ziarna — (coż z kości namalowanej jeleniem i co z miłego na nią spojrzenia?) z kolei powstało zagadnienie: jaka jest potrzeba i jaka korzyść z myśli filozoficznej, jaka jest korzyść z nieporównanego wynalezienia pługa i jaka z olbrzymiego odkrycia toczącej się okółem słońca ziemi?

Produktywność i bezproduktywność realna zdaje się być istotą wielości: poeta a świat. Poeta — mam tu na myśli ducha nowego, tworzącego psychicznie — wnosi i sieje niepokój. Chce być przewodnikiem oczu ludzkości, zajmuje ją i drażni sobą, nim doprowadziwszy do kresu widzialnego — bo prowadzi — nowe rozpali jej światło i pokaże jej nowy widnokrąg rozświatła reflektoru. I ciągle jest to pytanie człowieka pracy: czy to jest korzystne? — a za pytaniem tem poszedł opór, jak u pierwotniaka przyszedł gniew, który wybuchnął w pierwotnej formie: patrzysz na ptaki po drzewach, chcesz jeść, nie pracujesz na to!

W stosunku do tego pytania „poeta a świat”: poetę można pojąć tylko jako ferment moralny, jako czynnik rozwijający myśl, a myśl ludzka jest konserwatywna i leniwa co do sfery nadrealnej. Inaczej nie wydaje mi się możliwym postawienie w ogóle tego pytania, gdyż musiałoby wyłącznie budzić obraz przeciwieństwa. Jednak nie wydaje mi się, aby w życiu siły te szły na siebie, jak wrogie. Jest to raczej tylko tarcie się o siebie dwóch materii: stosunek do wagi człowieka skrzydeł Dedala i Ikara, którzy stworzone do patrzenia po ziemi oczy ludzkie podnieśli ku niebu, podobnie, jak myśl ludzką podnieśli ku niebu siewcy blasku w bryłę: chaldejscy pasterze — albo jak uczyniła to matematyka makrokosmu wobec przezroczystego już mikrokosmu człowieka.

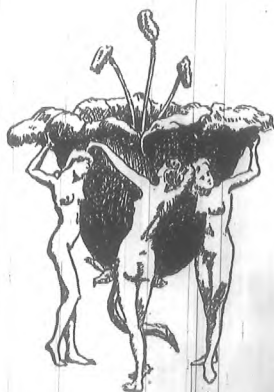
Cudowny szum wiatru i jego siew nasion wydaje mi się być rozwiązaniem zagadnienia: poeta a świat.

Zagadnienie to zresztą, postawione bez żadnych wyraźnych wskaźników, wszyscy w przybliżeniu jednakowo pojmować muszą. Całość tę pojęcia rozsegregować mogą tylko specjalne warunki danej epoki, lub specjalne warunki danego społeczeństwa. Wówczas kwestya „Poeta a świat” nabrać może szczególnego kolorytu. Jeżeli wyraz poeta pochodzi od greckiego wyrazu tworzyć, to wszelaka czynność poety nie przestaje być wierna swemu pierwotnemu znaczeniu. Pojęcie zdobnictwa rozszerzyć się może do nieograniczonego rozmiaru. Pięknym w stosunku do człowieka głodnego jest człowiek syty, pięknym w stosunku do niewolnego wolny — pięknie czyni, kto w tem tworzy. Wszystko, co jest częścią

składową wszechkultury zdobi ziemię. Dla tego nazwa poety ma znaczenie niezmiernie, rozciągle, niezmiernie daleko sięgające: spotka się w nim inżynier marzący nową drogę z lekarzem, szukającym nowych środków leczniczych, wojownik i polityk budujący swoją ojczyznę z malarzem odtwarzającym wspaniałość widzianą, pieśniarz z mówcą, muzyk z pracownikiem społecznym — — szczytne dobro świata jest zadaniem poety. Dla tego to szum i siew wiatru wydają mi się być wytłomaczeniem stosunku poezji życia do istnienia świata.

Kraków, w grudniu 1917.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.



... A gdy oto zaleniwiony w pracy mój duch słoneczności z siebie wydobyć zaniedbał i z drogą się Twórczości rozminął. Tyś go Panie walką sił wewnętrznych i rozbrajaniem onych ukarał, nie światłem już ale ogniem niszczycielem błysnąć przymusił, a dłużnikiem miesięcznych i słonecznych światów uczyniwszy zamieniłeś ducha mego w kłób ognia i zawiesiłeś go na przepaściach.

SŁOWACKI, „GENEZIS Z DUCHA.“

OBRACHUNKI

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

(DOK.)

Sztuka nie ma żadnego celu, przynajmniej ani jednego z tych, które człowiek celem nazywa; a, jeżeli społeczeństwu się zdaje, że przypadkowe korzyści, jakie z niej wyssać i wyciągnąć umiało, a raczej te, które mu twórca sam czasami w błędnym zrozumieniu swoich własnych objawień narzucił, mają być celem Sztuki, to tego fatalnego błędu wyzbyć się musi, inaczej zawrze wrota przed „korzyściami” — na Waszą pociechę to mówię — które będzie mogło wyciągnąć z dalszych „objawień” — a korzyści te będą mogły mieć może stokroć razy donośniej-sze znaczenie, niż te, które z dotychczasowych „objawień” uzyskało.

Przecież już i „ściśła” nauka wyciągnęła dla siebie wielkie korzyści z „objawień” tak zwanego „Symbolizmu”, który twierdzi, że dźwięk może wywołać i rzeczywiście wywołuje potopy barw, woń jakiegoś kwiatu „zabarwia” całkiem odwrotne konglomeraty wrażeń, a zaledwie dostrzegalny przeblysł jakiejś barwy może w nieświadomości (t. zn. w bezwiednych głębinach duszy) wywołać całe życie w nieskończonej perspektywie. Słyszeliście co o psychologicznej nauce o „transformacji” uczuć i wrażeń? I nauka, a przedewszystkiem psychiatria buduje się zwolna na „majaczniach” „oblędnych majakach” twórców i bada teraz z gorliwą powagą one stany, teraz już w nauce zarejestrowane jako stany zmierzchu (Dämmerungszustand, état de crépuscule), tak dobrze znane i tak niezrównanie opisane przed tylu dziesiątkami lat przez E. T. A. Hoffmana, Edgara Poe, Villiers de l'Isle Adama, a przedewszystkiem przez Szekspira i powieści Dostojewskiego.

Więc tylko spokojnie, nie tak chytrze, nie tak łapczywie: i z tej tak zwanej „nowej sztuki”, z tej całej przez Was wyklínanej, poniewieranej, zohydzonej i wyśmiewanej sztuki będziecie umieli wyciągnąć dla Waszego pożytku wielkie korzyści, ale przestańcie o tem gadać, że sztuka ma jakiś cel!

Może i ma, jeżeli w zaparach Bóstwa, z którego łona Sztuka się wyloniła, tkwi to pojęcie tych naszych mizernych, małych celów, ale bluźniłbym Bogu, gdybym go o te „nasze” cele posażał.

Streszczam się:

Sztuka, jako Objawienie ukrytych w człowieku, a nieznanych mu potęg, których tylko małą częsteczką, trzymaną na uwłazi zmysłów, żyjemy, niema żadnego „celu”, przynajmniej żadnego z tych wszystkich, jakie mózg ludzki za „cel” uważa — o innych celach nic nie wiemy — i to jest treścią hasła:

Sztuki dla sztuki,

o którym tyle bezsensownych bredni można było wyczytać i dotąd się wyczytuje.

Co społeczeństwo z Sztuki wyssie, co w swój „wraży” żołądek w swój brzuch wepchnąć zdoła, a co z niego jako nieużytek wypłuje, jest absolutnie dla Sztuki obojętne, jak obojętne mogło być dla objawień nauki Kopernika, Keplera, Newtona, Giordana Bruno, czy one wywrócały doszczętnie ten porządek rzeczy, od wieków istniejący, czy też go potwierdzały.

Sztuka nie pyta się o następstwa, chwilowo „użyteczne” lub „szkodliwe”, tak samo się o nie nie pyta czysta nauka, ani o to się pytać nie może, bo pierwiastek tak samo Sztuki, jak dociekań filozoficznych, jak również zdumiewających, wszystkie pojęcia dotychczasowe wywracających odkryć naukowych, tkwi w tem, co od ludzkiej woli jest niezależne, krytyce rozumu niepodległe, za skutki i wyniki nieodpowiedzialne, bo przyczynowość jego jest nieznaną — nieznaną twórcy samemu, a cóż dopiero społeczeństwu, które chciwie zachłannem pragnieniem pożytku krótkowzrocznego mózgu pragnie naginać objawienia do swych korzyści, a prędzej, czy później ulegać im musi.

I to jest ta

FATALNA SIŁA

którą sobie Słowacki mocą jakiegos niesłychanego jasnowidzenia w swoim „Testamencie” uświadomił:

„Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nie... tylko czoło zdoła.

Lecz po śmierci Was będzie gniotła niewidzialna,
Aż Was, zjadaczów chleba — w aniołów przerobi...”

Tem pojęciem FATALNEJ SIŁY wyraził Słowacki najgłębszą, najwięcej utajoną siłę twórcy, która nie podlega wyrokowi, uroszczeniom społeczeństwa, a równocześnie wyraził przez to pojęcie jej magiczną potęgę, mocą której zjadacze chleba w aniołów przemienieni zostaną, a ta magiczną potęgą jest
PRAWDA.

Nie było jeszcze Objawienia, któreby się prędzej, czy później nie okazało być Prawdą.

Twórca spełnia wolę czegoś mu nieznanego, nieogarniętego, niewypowiedzianego — co, powszechnie wyraża się symbolicznym słowem: BÓG — jest wieścicielem prawd w chwilach natchnionej intuicji mu objawionych, a czy ta PRAWDA dziś lub jutro Was utuczy, czy ona dla was dziś, czy też za lata całe dopiero stanie się pożytkiem — to całkiem obojętne, jak również obojętne, czy Prawda wynikającym z niej światopoglądem dziś Was do szalu wściekłości doprowadzi, by jutro stać się dla Was najwyższem dobrodziejstwem.

E pur si muovel

Prawda, objawiona przez Kopernika była wiek cały heretycznym fałszem, prawdę tę musieli srogo okupić i Galilei i Giordano Bruno, a jednakowoż objawiona prawda została prawdą, a czy najwyższa PRAWDA, objawiona przez Słowackiego w Genesiz z Ducha, przed trzydziestu laty jeszcze uznana za „deliryczny“ obłęd, dziś już poparta przez najnowsze zdobycze nauki i wyznawana przez tysiące i tysiące najlepszych w narodzie, za lat sto już może stanie się biblią narodu, według której tenże, z zjadacza chleba w anioła przemieniony, sprawę Bożą sprawować będzie — to wszystko dla prawdy samej jest obojętne, bo PRAWDA istnieje sama w sobie i sama dla siebie.

A prawdą jest niezłomna WIARA w doznane objawienie. Prawdą jest „widząca wiara“, ztąd SZTUKA, jako uzmysłowienie widzącej wiary, jest sama w sobie objawieniem PRAWDY.

PRAWDA i bezwzględna ETYKA jest jedno i to samo, ztąd też każde „objawienie“, w jakikolwiek sposób się ono dokona, jest tem samem etyczne:

Każdy istotny twór artystyczny jest bezwzględnie etyczny.

Tą objawioną bezwzględną Prawdę-Etykę znajdujemy w Prawdach, objawionych nam przez Chrystusa.

Ta Etyka bezwzględna, etyka ewangeliczna oparta jest na MIŁOŚCI, WNIĘBO-
WSTĄPIENIU i ZSTĄPIENIU DO PIEKIEŁ, ZLANIU SIĘ Z WSZECHŚWIATEM, PRZEBACZANIU, a przede wszystkim ZROZUMIENIU najróżniejszych upadków i najwspanialszych wlotów duszy ludzkiej, ogarnięcie wszystkich jej kregów: i tych, w których jakiś podły celnik zamieszkał, lub w których jakaś Magdalena rozpustę uprawia, jakaś cudzołożnica zasię z swem złem sumieniem się boryka, — w których apostoł swego Mistrza się wypiera, chciwiec Boga za nędzny grosz zdradza, w których od bólu opętany człowiek Bogu bluźni, lub mu najkorniejsze ofiary składa,

I otóż:

Nie ma ani jednego tworu Sztuki, któryby stał w sprzeczności z najwyższemi prawdami, objawionemi w nauce Chrystusa.

Nasza „etyka“ którą my się kierujemy, nie ma prawie nic, albo bardzo mało wspólnego z bezwzględną objawioną Etyką.

Pokażcie mi jednego człowieka, któryby się szczerze do prawd ewangelicznych zastosował — pokażcie mi tego, któryby kochał bliźniego, jak siebie samego, w domu Magdalen przebywał,

z Samarytankami przy studni o najwyższych objawieniach mówił, marnego celnika ponad bogatego faryzeusza stawiał, — pokażcie mi tego, któryby twierdził, że prędzej lina okrętowa przejdzie przez uszko igły, aniżeli bogaty wstąpi do państwa niebieskiego, pokażcie mi onego bogatego, który rozda wszystko między ubogich i idzie za Chrystusem, jeden przykład pokory wskażcie mi tego, który, gdy się go w jeden policzek uderzy, drugi nastawia — pewno że nie zostałby dziś ukrzyżowany, ale uważany za „cichego“ warjata, dostałby się pod kuratelę rodziny, uważanyby był za „anarchistę“, za gwałciela porządku społecznego i jako taki dostałby się niechybnie do zabójczego leprarium, jako trędowaty, wyrzutek, parszywa owca.

Nasza etyka, ta, którą żyjemy, którą nam żyć każą — nie ma nic wspólnego z bezwzględną, objawioną Etyką Ewangelii.

Ta nasza Etyka — to ordynarny amerykański pragmatyzm Williama Jamesa, dla którego jedyną prawdą jest to, co jest korzystnem, fałszem zaś wszystko, co na razie przynajmniej — mógł ludzki jest głupi i krótkowzroczny — szkodę przynosi:

Dla tej Etyki jedynym kryterjum dla prawdy naszych sądów jest jedynie to, że czyny nasze są w skutkach pożądane i korzystne, a to, co wartościujemy jako prawdę, jest tylko rezultatem doboru w rozwoju ludzkości. „Prawdziwy“ i „fałszywy“, to znaczy „moralny“ i „nie-moralny“ równa się — „użytecznemu“ i „szkodliwemu.“

Ta „pragmatyczna etyka“ jest zacięłym wrogiem bezwzględnej Etyki, jaka się przejawia w kulturze, ideałach, pojęciu ojczyzny, w sztuce, a więc ze stanowiska pragmatycznej etyki naj-fałszywszych pojęć, bo — całkiem bezużytecznych.

Bez „cywilizacji“, wytworu organicznej projekcji, jako najwięcej pożytkowej, człowiek nowożytny obejść się nie może — potrzebna mu elektryczność i para i W. C. i wodociąg i t. d. — bez psychicznej projekcji Kultury, Sztuki i tego wszystkiego, co pogardliwie Mistyką i Symbolizmem nazywa, obywatel się doskonale, a jeżeli tej nadwartości zapragnie, to, jedynie dla tego, że — sam nie wie — dla czego? — A nawet ta słynna polska miłość Ojczyzny! Policzcie na palcach tych wielkich męczenników tej czystej bezwzględnej idei, którzyby się absolutnie, bezwzględnie z każdego grosza, z wszystkiego, co go z światem łączy, wyzuli bez najmniejszej ubocznej myśli o możliwych korzyściach!

Jedynym kryterjum społecznej i kościelnej Etyki — to znaczy tego, co jest korzystne dla człowieka lub nie, co mu tu zapewnia szczęście na ziemi, a wygodną ubikację w pozabytowem istnieniu w niebie, jest właśnie ten ordynarny pragmatyzm i z tą to biedną etyką stała zawsze i stać będzie istotna Sztuka w bezustannem i jak najwięcej wrogiem przeciwieństwie.

Objawiona Prawda w Sztuce nie może się sprzeciwiać i nigdy się nie sprzeciwiała etycznej Prawdzie, objawionej w Ewangeliach, bo jedna i druga z tego samego źródła wypływa — i do dziś dnia w niczem przeciw niej nie wykroczyła. A, jeżeliby Sztuka mogła mieć wogóle jakąś etyczną tendencję, to jedynie tylko tą:

każdej Prawdzie immanentną:
by burzyć i niszczyć Fałsz, Obludę i Kłamstwo — a tem wszystkiem jest w głównej części ta etyka pożytku i korzyści, którą społeczeństwo żyje!

Słowacki powiada raz, że miarę wartości swych dzieł znajduje przez postawienie sobie pytania, czy mógłby je czytać wobec CHRYSYDUSA.

Gdyby był głębiej jeszcze w swój twór był wejrzał, byłby się przekonał, że nawet nie potrzebowałby tego czynić, bo twór jego, jak również każdego innego istotnego twórcy jest częścią objawionych przez Boga prawd, zawartych w Ewangeliach, a uzmysłowionych przez jego Sztukę.

I niema artysty — istotnego artysty — wszystko jedno, czy on się nazywa Dante, czy Szekspir, — Byron, czy Flaubert, Goethe, czy Mickiewicz lub Słowacki, czy też Kasprowicz — Żeromski, czy też Wyspiański, któryby nie mógł odczytywać swego tworu przed CHRYSYDUSEM. A i piszący te słowa nie doznał nigdy tak głębokiego, szpik kości przeszywającego wrażenia, gdy podszedł do niego dostojny kapłan-asceta i powiedział mu: „Dziękuję Panu —

odkąd twór Pański poznałem, całkiem inaczej słucham spowiedzi — pocynam poznawać Człowieka!”

Temu tylko nie będzie wolno pokazać się przed Chrystusem, dla którego Sztuka była „łatwą zalotnicą”, jak Mickiewicz mówi, który według tego samego Mickiewicza „prawił o aniołach, o szatanach, o tajemniczych rzeczach, nie widziawszy ich w duchu” — ten będzie uznawan za „bezczelnego”, za szalierza i niegodnego miana Twórcy, który będzie robił z Sztuki SŁUŻKĘ, jakiejśkolwiek Tendencji!

Tendencja jest śmieszną doktryną — niczem innym jak tylko doktryną, wszystko jedno, czy społeczną, czy też kościelną, czy też — etyczną: czem innym jest Prawda.

„Żadne uczucie światowe nie rozminie się z sercem naszym i żadna „miłość w nas nie gaśnie, niczego się nie wypieramy, prócz głupstwa „i fałszu i maskowanych rzeczy i bałwanów, zrobionych przez oszu-kaństwo ludzi i zapalców, nie z serca idących!”

Tak mówi o twórcach Słowacki, „Duch Świata”, wierny sługa Chrystusowy, największy może Wieściel objawionych Prawd w Polsce. —

Obowiązki Twórcy wobec Społeczeństwa?!

To już wyraźny obłęd ordynarnej pychy dorożkiewicza, który okradaniem majątku magnata czegoś się dorobił. To samo społeczeństwo, które wszystko — bezwzględnie wszystko Twórcy zawdzięcza, wszystko jedno, czy nazywa się on Mickiewiczem lub Słowackim (najgłębsze ich objawienia na indeksie kościelnym, lub za „obłęd” uznane), Kasproviczem lub Żeromskim lub Wyspiańskim (wszyscy lub bluźniercy, lub niemoralni, lub z nielitością pogardą odrzucający tak zwane „święte tradycje”), Zamoyskim lub Kołłątajem, Kościuszką czy Pułaskim, Kopernikiem lub Śniadeckiem, to społeczeństwo ośmiela się prawa dyktować tym, którzy „fatalną”, im samym prawie nieświadomą siłą gnani, — święci męczennicy tej ukrytej Potęgi — wszystko mu dali w zamian — za głupie pomniczki, które im po śmierci stawiono, albo stawiać się będzie, w miarę, jak się okaże jakaś nowa korzyść i pożytek, które mędrsze pokolenia będą umiały z ich tworu wyssać?!

Widzę już zbliżający się czas, w którym nie Twórca „Ojca zadżumionych”, „W Szwajcaryi” „Mazepę”, ale wielki prorok i rewelator, objawiony nam w „Genezis z Ducha”, „Wykładzie Nauki”, „Teogonii”, „Samuelu Zborowskim”, opowieści o „Helionie i Helois”, nie grób swój znajdzie na jakimś Wawelu — och! jak! marne jest pojęcie polityczne „króla” w zestawieniu z tymi mocarzami Ducha! — ale płomienne Zmartwychpowstanie w duszy narodu, jako współczesna atarwa Króla-Ducha.

Przyjdź Paraklecie-Słowacki — przyjdź z twą piorunującą siłą, tą twoją, prometeuszowską, druzgoczącą odwagą: Twoje „senne królestwo” już się zaludniać pocyna, Twoje „harfy” znajdują już teraz słuchaczy, którzy nie są „głusi”, a „niemota” ich jeszcze przed pół wiekiem, dziś już monarszą mocą rozbrzmiewa!

Twórca, jako członek społeczeństwa, musi się ściśle trzymać dekalogu tegoż, o ile nie ma odwagi i siły spokojnie tego znosić, że zostanie poza jego nawias wyrzucony: jako Twórca ma tylko i jedynie obowiązki wobec siebie samego, jedynie tylko wobec PRAWDY w nim objawionej, chociażby miała ta Prawda na razie dla tego społeczeństwa okazać się choćby i najszkodliwszą — oczywiście dla krótkowzroczności mózgu — bo Prawda; dziś szkodliwa już za lat dziesiątek okaże się najwyższem dobrodziejstwem!

(Ha, ha! Zapytajcie handlarzy obrazów, jakie olbrzymie sumy zarabiają na działach impresjonistów, którzy swoje obrazy przed 30 laty po 10 franków sprzedawali!)

Biada temu Twórcy, który sprzeniewierza się objawionej w nim prawdzie, kłam jej zadaje, naginając się do wymogów i potrzeb chwilowych społeczeństwa, tchórząc przed jej chwilową potęgą, biada twórcy, którego nie stać na męczeństwo, chociażby i nawet takie, że zostanie z jego łona wyrzucony — biada mu, gdy stanie przed tą MOCA, która się go zapyta, o ten talent, mu powierzony, a który on zakopał, aby był bezpieczny! Zostanie uznany według Mickiewicza-proroka

za „niegodnego”, „bezczelnego szalbierza” — dziś może jeszcze ubóstwianego przez tłum, a za pół wieku przez ten sam tłum wzgardzonego i zapomnianego.

A moje „caeterum censeo“?!

Winą wszystkich krzyżowań istotnych twórców, jest tchórzliwość, lęk ich samych przed wszechwładnem panowaniem nie tłumy, tylko jego prowodyrów, brak tej bezwzględnej odwagi — częstokroć wprawdzie aż nazbyt męczeńskiej, by zgnieść i zmiażdżyć to ogłupiające i tumaniące pośrednictwo między Sztuką a społeczeństwem, jakie przedstawia „zrozumiała”, „umoralniająca”, podnosząca i krzepiąca serca „sztuka”, zgnieść moc tych, którzy tą tylko jedynie Sztukę do ognisk społeczeństwa przemycają, a wszelką inną wyklinają i z błotem mieszają — brak odwagi, by wreszcie zwalić z tronu „tę łatwą zalotnicę” a budować ołtarze dla tej trudno dostępnej, dostojnej Pani, jaką jest istotna, objawiona Sztuka.

To wszystko pisze nie Twórca, który jest całkiem świadom, że zaledwie drobna iskierka światła Bożego w duszy jego się objawiła, ale człowiek, który został uznany za godnego, by chociaż rąbek wielkich tajemnic mógł odsłonić i ujrzeć PRAWDĘ, w całej jest świętej NAGOŚCI.



U POETÓW.

DYMITER MIEREŻKOWSKI.

Z POEMATU „SMIERĆ”

STROFA LXIII.

*Kładźcie wy relsy, szachty ryjcie,
Uskromcie wściekłość morskich burz,
Odwiecznych pustyni ląd okryjcie
Sieciami drutów wszędy i wzdłuż,
Zuchwale zwieście ponad bezdno
Żelazny most arką podgwiezdną,
Rozżarcie wewnątrz waszych miast
Błyskawicowych lamp łańcuchy, —
Gdy w sercu brak miłości gwiazd,
To wszystko nie da wam otuchy!
Gdy zamknął w ludziach Boga ślad,
Nastanie noc i zmierzchnie świat!*

PRZED JUŻ RZNIĄ.

*Wyteżając wzrok, co mocy,
Na przedświtów błąd straż,
Dzieci bólu, dzieci nocy,
Drżym, czy przyjdzie prorok nasz.*

*Niewiadome dąga nam w duszy,
W sercach tli nadziei żar,
Świszczy, mrąc wśród świata głuszy,
Niestworzonych światów czar.*

*Harde waszych słów pioruny,
Lecz skazaliśmy na zgon,
Jako wczesne zbyt zwiastuny,
Wczesny zbyt wiosenny plon.*

*Pogrzebionych zmartwychwstanie
I — wśród głuchej nocnej cmy —
Krzyk koguta na zaranie,
Chłód jutrzenny — oto my!*

*My — pokusa dla niesytych,
My — urgań ludzkich cel,
Skra w popiele w gruz pobitych
Ojarnicznych zgastych stel.*

*Mysmy most ponad bezdenie,
Dzieci mroku żądne słońc,
Jaśń ujrzymy — i jak cienie
Zginiem w blaskach, gasnąc, mrąc...*

BŁĘKITNE NIEBO.

*Jam ludziom obcy; mało wierzę
W cnoty wszech ludów i wszech ziem:
Inną ja miarą życie mierzę,
Bezczelowego piękna snem.*

*Ja wierzę tylko w lazuruwy,
Niedosięgalny nieba skłon,
Zawsze jedyny, prosty, nowy
I niepojęty, jak sam zgon.*

*Nad wszem, co kocha i boleje,
Drżę jako liść w wichurach nieb, —
Uśmiechem wiecznym promienieje
Nieubłagany modry sklep...*

*O niebo, daj mi, daj być pięknym,
Schodzącym z wyżyn w ziemskie mgły,
I beznamietnym, i bezlęknym,
I tak ogarniać świat, jak ty!*

PIESN BŁAZNA.

To nie mleczów puchowe latarki wśród traw
Scina dziecko w igraszce pod płótem:
To korony i mitry z głów strąca na trąf
Śmierć wszechmocna, przez żart, mimolotem.
Do trefniczka Śmierć przyszła: „hej, zbieraj się, Kpie,
Pójdiesz, błaznie, i ty w moje kleszcze,
Pośród koron i tyar pstry kaptur na dnie
Mojej torby ogólnej umieszczę.”
Ale garbus na plecy jej skoczył, jak kot,
I łomoce już Śmierć dzwonką laską,
Po kościstym czerepie wali gdyby młot
I staruszki natrzęsa się wrzaskom.
Żałośliwie Śmierć jęczy: „oj, bracie, już dość!”
Ale błazen się wstrzymać nie zdoła,
Niby dobosz w swój bęben grzmi w pustą tła kość,
I chichocze, i gwizdże, i woła:
„Ani śni mi się mrzeć, ani ciebie mi strach!
Kocham życie, śmiech, słońce — w ich blaskach i skrach
Żył se będę, dopóki ochota;
Przebrzmiał zwycięstw rozhuki, zwiędnie krasa szczep,
Ale nigdy i nigdzie nie zemrze ci Kiep —
Bo bezzgonną jest ludzka głupota!”

MIRIAM.



WACŁAW BERENT.

OPOWIEŚĆ RYBAŁTA.



rybałty, utrudzone popisami na rynku, ciężko zasiadały na ławach gospody, wdychając z lubością zapach zwilgłej kadzi, myszki i winnego wyszynku.

Piwnica była długa jak refektarz; jej strop beczkowy łamał się w łuki tuż nad głową, o ławy nieomal żebrami sparty. W głębi zwisa ciemną czeluścią komora

dymnika, pod nią na różnie wołu byś upiekl. Tymczasem kury obsiadły krawędzi jego na górze. Opośdalał komina stoi beczka; w żółtym świetle wśród dzbanów krząta się dziewczka tłusta.

„Dobrze tu! — myśli goliard, — kompania swoja, ciepło, wino obiecuje się smacznie“.

Począł trzeć grzbietem o ścianę:

„Locus est genialis!“

I chwyciwszy gęślarza, zapraszającego wciąż kamratów pobrząkiem franciszkańskiej szkatuły, sadza go przy sobie na ławie.

„Siadźże, napijże się, użyjże, człeczce, choć raz czegoś więcej, prócz własnej ochoty! Bo-ć, po staremu, chciwsze gardła wino z przed nosa wypijają, zasobniejsze trzosi kobietę z ramion odbiorą, ksiądz twe grosze do skarbonki kościelnej przesypie, a ty zostaniesz pono zawsze — bosonóż i z gęślą podłapachą; — byś wiedział, za co cię kanonik ze społeczności chrześcian wytrąca, a franciszkanin za czarta samego bierze!“

„On z pocziwości! Duszę mi swoją z tą skarbonką oddał — za gędzbę piękną.“

„A przecie mniszysko i g n o r a n s jest. Choćby maskar nie rozeznał, wiedzieć winien, co pisze święty Hieronim w żywocie świętego Antoniego: — że nie szatanów są natury, że i w pogaństwie nawet nie zostali satyrowie dzicy.“

„Prawdaż to?“ — zdziwił się żaki.

Goliard, widząc dzbany na stole, zawczas wycierał o połę łagiewkę drewnianą. I w oczekiwaniu na wino, rad gwarzył:

„Na pustyni egipskiej zastąpił drogę świętemu stwór taki. I jał go prosić imieniem całego rodu swego: faunów, panków i satyrów, aby ich polecił

królowi Betlejemskiemu, o którym się zwiedzieli, że przyszedł na świat, zbawić wszystkich. Że prawdziwie tak było, a wierzący w to duszy swej w pokuszenie nie wiedzie, — pisze Hieronim, — zaświadczyć mógł to potem lud mnogi, bowiem sprowadzono takiego za żywa do miasta Aleksandryi, czasu Konstancyjny cesarza.“

„A dziś? — zaciekawiła się skoczka, zatrzymując się przed nim z dzbanem, — są li jeszcze Panki prawdziwe? — choćby tam: za morzem?“

„Różnie różni powiadają. Są, którzy mówią, że gdy pani Diana, postarawszy się, wszystkie nimfy zazdrośnie wytepiła, — cherlać poczęli i kaslać Pankowie. W takiej żalności widziano go właśnie w Aleksandryi. I tak zczeżli pono. Zasię dziś? teraz?... By prawdę rzec, mnie się onych przytrafiło widzieć tylko wśród ucieszników grodzkich pod sąsiadów oknami, ale w skórze zapożyczony pono od bydła!“

Żaki już się znaleźli pod stołem, by szczypać w łydki skoczki bachowych, w capów skórę zaszytych, i drażnić słowem, — że bydła.

Aż się goliard z nimi ujął musiał:

„Nie o naszych ja przecie myślałem! Wszakże oni to, dla sztuki, m i m u s y tych dawnych. I nikomu na krzywdę, a sobie na zarobek pocziwy. Bo zważcie, żaki: — nie natrząsali się nigdy nad dolą i niedolą człeczka satyrowie dzicy, radzi każdemu z pod smętu życia wylechtać jego własną ochotę, własnemu jego życiu na ulgę! Tak też i nasi czynią. I ich sztuka satyrów zacna, a z pradawniejszych piękności idzie niżli każda inna. Ich by na czoło igry wszelkiej, by zbodli ludziom wprzód z grzbietów wszystkie pomstliwe brzemiona doli.“

Skoczka tymczasem pochyła nad jego łagiewką cynowe dzbanisko wina, przyciskając do swej napół obnażonej piersi: — z zadymionej cyny zdały się porówno, w złocistych połyskach światła. Jał głąskać dłonią te dwie obłe kruże: kobiecych piersi i dzbana.

„Od gorzkości dnia powszedniego chronią nas obie,“ — powiada żakom na poczenie.

Zas, widząc że od jego czarki kolejno wino nalewać zaczyna: że mu tak świadczy przy kamratkach, —

niebardzo snadź w to respektowanie wierząc, — do-
rzuca dalej, żakom ku nauce.

„Najbardziej zasię chronią nas od wulgarii
dnia codziennego kobiecych świadczeń kłamstwa grze-
czne, bowiem z nich rodzi się ornatio życia same-
go w obyczaj dwornym.“

„A któż to kłamia?“ — wtrącił nagle bas gruby.

Tuż przy kadzi siedzi samotnie herold w czer-
wieniach, nie królewski przecie, a z wędrownych po
zamekach. Rozwala się na stołku, miecz naprzód wy-
stawia i pyta zadziornie: „Któż to kłamia?“

„Kłamia, panie, wszystkie kobiety społem, życiu
naszemu powszedniemu na ulgę.“

„Ty sam łiesz na ten koniec, — bo tak każe
liche rzemiosło twoje. A na kobiety nie pyskuj, bo
rycerz cię słucha!“

Żaki już pochowały nosy w kulaki i parszają
w nie nad tem wystawnem rycerstwem ledwie paso-
wanego gbura. Z gęby przecie widać: nie pan to
żaden, a człek chudorodny; pełny trzosa tylko odyma-
go w takie rycerstwo szumne. Mają bo dziś pienią-
dze heroldy, — ho, ho! — więcej niżli kiedykolwiek
miewali waganty. Bodaj to dziś rycerzom, biskupom
i opatom znaki tarczowe ich przodków wykladać,
każdego od króla Dawida lub od Scipiona afrykań-
skiego wywodzić! Zaś to zasadzanie się dziś panów
na kupców, juki i wory, — owszem, — chwalić. Ba-
czyć natomiast, by rycerz nie brał takiej żonki w łóż-
ce, na jaką mu herold nie pozwoli. Oglupili ich przecie
do tyłu!

„Wiodła niegdyś Muza rycerzy i na boje święte! —
myślą smętnie żaki. — Hej, gdzie te czasy! Milsza
dziś na zamkach heroldów Muza. Onaż to zaparała
przed wagantami wrota zamkowe i opactw furty.“ —

Dziwi się goliard obecności takiego pana w wa-
ganckiej gospodzie i jego zaczepności od pierwsze-
go słowa. Więc zezem baczny na skoczkę. Ona zach-
nie się ramionami, chcąc tem pewnie powiedzieć, że
go siłą tu przecie nie ściągała, komu zaś jej taniec
nazbyt do głowy uderzył, sztuki to sprawa, a nie
czyja. „Takie zaś gbury, dodaje, są zawsze najbar-
dziej przylepne ze wszystkich zalotników, bo się
w nich krew rusza na gnuśno: długo i cierpliwie.
Więc czekają z łapą na mieszkup pełnym.“

„Ciszej mów...“ — zgrzytnie goliard. I przy-
twierdzi ten nakaz białkami oczu.

By za chwilę twarz poczerwieniała oburacz przy-
słonić.

Opanował się jednak wobec zapatrzenia kamra-
tów. I, kładąc jej rękę na dłoń, mówi

„Posłuchaj, coć rzekę. Gdy Blancaflora
z Florą posprzeczały się o kochanków, w sprzecz-
kę siostr w mieszały się ptaki: za panów opowiedział
się słowik, za rycerzem papuga.“

„To też, prawia żonglerzy, Blancaflorę ry-
chło pochowały ptaszki,“ — przerwie, klepiąc go po
policzku.

I zakuka rybaltka niską nutą swego śmiechu;
aż się strzęśła jej pierś.

„Chcesz bym tak chudziutka się stała?“

Wystarczyło śmiechu, by się wzburzyła wartka
krew skoczki.

„Ach ty!“ — szepcze grubą pieścizotą.

I zwinnym rzutem wgarnie mu się w ramiona —
całem ciałem, bo i nogi jego nogami jakoś oplata,
powojem osnuwa, wtula się w pierś, przyhołubia...
I syczy mu w usta jeden pocałunek bez końca, —
by nie miał ni czasu ni mocy do rozmyślań nad tem
wszystkiem.

Gwałtowne poszczęki ostróg i miecza dały się
nagle słyszeć od stołka przy beczce. Ledwie to usły-
szy skoczka, a ręce jej jakby coś targnęły przed sobą.

„Jam wolna!“ — krzyknie w stronę herolda.

A słyszeć się to dało, niczem jastrzębia głos po lesie:
w tak ostre echa rozbijał się jej bas w pisku kobie-
cej pasyi. „My tu wszyscy ludzie wolni!“...

„Bacche!“ — dzikim wrzaskiem odkrzykną jej
się rybaltę na hardy wtór.

I zerwą się z ław, w górę podniosą czarki.

Gęślarz tymczasem zagonił się za karczmą,
dziewką jak piec rozłożystą, twardą i śliską. „Toż-
byś ty świerszczem grającym mógł się przytulić do
tego kominal!“ — drwią z niego żaki. On czyni prze-
cie te zaloty nie dla się tylko, lecz jakby kamratom
na wygodzenie i uciechę. Bo co ona mu rzecze, on
wraz na izbę okrzykuje.

Powiada, że się nazywa Helena.“

„Czemu wszystko powtarzasz!“ — zdzieli go
dziewka tęgą łapą po pośladku, aż się podęgnie
wątlak.

A żaki w śmiech nad tem szumnem, z zamku,
mieniem dziewczki z pod wiechy. Oto jeden kogucik
wystawi się przed nią i recytuje jej w nos:

„Si tu esses Helena, vellem esse Pa-
ris!“

Naprzykrzają jej się te żaczyska jak złe muchy;
a przecie rada widzi, że się za nią po izbie wciąż
merdają. Każdej lubo, gdy się zalotniki koło niej
kręcą.

Gdy tak żaki płocze figlują z dziewczką, przestą-
piło próg aż czterech panów poważnych z krótkimi
gęślikami do opowieści. Nie od razu poznały rybaltę
panów żonglerów, którzy pod żaden kościół utrudzać
się nie potrzebowali, rozchwytyani po wszystkich pie-
karniach i wieczerkach grodu.

„Bodaj to sztuka prawienia romansów! — wzdychają igrice. — Każdy z nich na świeżo wykapan, nakarmion, w szatach dumnych...”

„Nie drażnić bestyi!” — huknie tymczasem jakiś głos z za proga.

Rozległ się głuchy szcęk łańcucha i za chłopem w spiczastym kolkupie wwała sapiwie swe cielsko niedźwiedź ogromny; — aż zacuchniało nagle w izbie. Na zadnich łapach kołysze się w chodzie, srogi i głupi zarazem z tym kolcem w nosie. Niedźwiednik szcęką łańcuchem, a drągiem usuwa ludzi.

„Nie drażnić bestyi!” — doprasza się wciąż.

U komina go ułożył, jakby wielkie futro z ramion na ziemia cisnął. Wtedy dopiero obnaży głowę i pozdrowi gromko wszystkich kamratów.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

Taki to piękny obyczaj miał: — z nad Odry szedł z niedźwiedziem swoim.

Przysiadł do stołu, spracowaną głowę obciera z potu i rozpytuje pocziwie każdego, jak mu też igra dziś poszła, ile pan Bóg zarobić pozwolił. Czczyisko było spokojne, a kompan wszystkim najlepszy. O sztuki nigdy się nie spierał.

Czyniły to tymczasem żaki z zaciekłym ferworem dysputacyi: — tak na nich podziało wejście panów żonglerów. Ledwie ich uspokoił siłacz gruby; ozwał się jednak dziwnie cienko, głosem zdziwionego rzekniesz dziecka:

„Które żadnej igry nie czynią, — żaki, — rozgwarzyły się najgłośniej, jaka sztuka Bogu i ludziom miłsza i na jaką modłę sprawować się winna. Jeszcze mnie te żaczki siły zechcą uczyć po łacinie!”

Nabijała się tymczasem gospoda. Zapóźnione waganty ścigały powoli. Zwlekali się kuglce z wymyślnemi sprzętami swoich popisów. Wokół stołów szastać się jeły i rybałtki, których sztuka na rynku nieznaczna, a zarobkowanie po ulicach inne. Zanościło od nich jak od tego niedźwiedzia, tylko na lepko, na słodko. To technienie przykryków olejków roznosząc po izbie z szelestem, wtykały wszędzie swe barwione twarze. Jawią się wreszcie i wesolki, a rozdzwonią wraz w tłumie swemi kukłami. Ich psy mądre poczną się ścigać między stołami w kregi, w zawroty, w wiewiórcze szale; — czynią to na wytechnienie swobody po sztucznych popisach rynkowych, a potrosze i dlatego, że coś z pana natury jest zawsze i w zwierzęciu jego: cieszą się psy waganckie na nową wędrowkę po gościńcach świata.

Przywłół się wreszcie i gadkarz; ale jakis zgolał inny niż na rynku. Sprósne przed ludźmi oblicze ścigało mu teraz znużenie w cierpką powagę; cały ciemnym płaszczem zatulony przysiadł się pchnu do towarzyszy. Na ulicach zastępowali go teraz ucie-

szniki grodzkie. „Choćbyś im nie wiem jakie gadki wymyślał, — skarży się kamratom, — im zawsze ciekawsze sąsiadów sprawy; na nie każą mi wciąż składać gadki, a i szcudrymi być wtedy obiecują.” Wina pić nie chciał, — bo niech groszy mało do domu z włóczęgi przyniesie, zangka żona, dzieciaczyska zaszczypią na śmierć.

Goliard tymczasem swarzył się o coś ze skoczka.

„Gdym ci taka niepocziwa, to za co mnie lubisz?”

Nie znalazł odpowiedzi, choć po nią trzy razy do czarki zaglądał, — a głęboko. Aż mu ją odjęła z przed ust.

„Za com ci luba?” — nastaje uparcie.

Patrzy goliard na te dzikie płomyki czarnych włosów gdzieś koło ucha, na te kędziorki i kosmyki wicherkowe pod uchem na śniadej szyi.

„Veneris tentoria res est amatoria, — znalazł wreszcie odpowiedź; — a nie było takiego magistra, któryby kogo nauczył, co by mu się, miarą rozumu, podobać winno w kobiecie. Prócz cnoty, prócz cnoty, oczywiście, którą kościół kochać nam każe.”

„Gdym ci zawsze taka niepocziwa była, to czemu składałeś na mnie one wiersze, któremi delektują się po świecie i biskupy?... Niech ci przypomną żaki!” — dorzuci z hardem wyzwaniem.

Żaków tylko tem trąć: już wyskakiwali z ław, by skłóconemi takty, jeden przez drugiego odbębniać wiersze jakoweś. Nic z tego rozgardjaszu wysłuchać nie można, ledwie to jedno zdanie wyrwie się zgodnym chórem: „Nimpha non est formae tantum”...

„Silentium!” — huknie na nich goliard, właśnie jak ten mnich na żaki. I pocznie czochrąć się po kapturze, wyciągać dłońmi jego wisior, zły na tę ohydę, jaką uczyniły żaki z wiersza jego.

„Wiedz, pyszna kobieto, że są godniejsze pięknych wierszy i biskupich nad niemi delektacyj. Nie wiasty, które, pacierzem, postem i jałmużny Pana Boga i świętych w niebie ciesząc, kwitną przy krosienkach w obyczaju pocziwości. Tylko że onych piękno ledwie chóry anielską wygłosić potrafią. Dlatego też grzeszny poeta śpiewać musi o podlejszych.”

Ale ona była już w pomszczeniu, więc zatrzymała myśl na ciekawości dla się w tej chwili najważniejszej. Ciagnie go za rękaw, uchyla mu znów czarkę pod ust.

„Powiedz: te nimfy?... jakie one z siebie były?”

Goliard był wciąż jeszcze markotny za to zohydzenie wiersza jego w odbębnienu żaków.

„Nic o nich napewno powiedzieć się nie da! — odmruknę na jej zapytanie. — Nie sprowadzano ta-

kich za żywa do miasta Aleksandryi, czasu Konstancyjny cesarza."

"Nie kasłaj, nie kasłaj, stary!"

"Schlęsnąłem się winem, niedobra! I zapamiętałaś mściwie o tym kaszlu!... A przecz mnie starym zowiesz? Czym siwy? czym krzywy? swarliwy?"

"Aleć klerk: oświecony."

"Eheul gorzkie laury twoje, nauko, przed kobietami!... Nie stary-m, póki mater Venus przy tobie tak szczodrę subsidit amori."

"Dulcia stipendia!" — mamrotał coś do się po chwili, ledwie trafiając wargami na wrąb łagiewki.

Bo chwiał się już na ławie.

Spostrzeże to skoczka, więc ściągnie mu kaptur z głowy i wstrząchnie czuprynę, — by wydymało. A sama wymknie się chyłkiem z piwnicy.

U komina urosła tymczasem tęczowa góra instrumentów sztuk wszystkich. Ten i ów jeszcze się ze swoim rozstać nie może; to w trąbkę lub piszczałki zadmie, to w kocioł uderzy, rozzdzwoni bębni. Pod niskim sklepieniem piwnicy czyni się gwar piekielny wśród poszczekiwania psów rozbieganych, gdakania kur budzonych raz po raz na kominie i głuchego pomruku niedźwiedzia. A nad tym sabatem waganckiej gospody rozlega się w krótkich pokrzykach, jakby w targaniach się pasy:

"Cztery!"... "Siedem!"... "Dziesięć!"

Po bachowych ołtarzach przyszła kolej i na djabłowe: — grano w kości.

Nie jeden, zanim się opatrzył, przegrał cały swój zarobek disiejszy. Oto i żongler, który od szcudrej pani w mieście otrzymał najcenniejszą szatę ze skrzyni, tu się z niej rozdziać musiał. A jeszcze mu w tem pomagają żaki, zawodząc kołem:

O, fortuna!
velut luna,
situ variabilis...

Znalazł się nawet psalterz na stawkę, na co linochód aż kubek z kośćmi precz odrzucił, zażegnawając się od tak bezbożnego grania.

Menestrel, że swój grosik rychło przegrał, a skarbonkę kwestarza dawno z kamratami przepił, cieszył się już tylko szczęściem innych, pogodnie swe serce przerzucając zawsze na stronę fortunnego. A że skrat mały nie mógł docisnąć się w tłumie, więc się w swem gnieźle i z bosami nogami usadowił na stole, tuż przy desce graczy.

"Pięć!" — wrzasną mu nad uchem.

A on smykiem poddaje żakom takty. I zanuci im:

"Hej, ty żaczku nauczony,
Powiedz, co jest pięć?"

Im w to graj. Gruchną pięściami w stół, rozbębnią się w poddane takty żaczkowego śpiewu:

"Pięć ran cierpiał Pan!
Cztery listy Wangelisty!
A patriarchy Trzy! —

"Dziewięć!" — przerwie im wrzaskiem gracz któryś przy desce.

"Dziewięć chorób jest anielskich," — zawodzi cienko zespół żaczków.

Świeciła dożynki goliardowa familia.

On zaś, stumaniony winem, siedział na ławie w podokiennej nyży. Po kilkakroć wyciągał rękę po Horaca, którego wsparł było opodal na ławie; ale czy że ramię było za krótkie, czy że książka sama odsuwała się za każdym razem od garści precz, — nie mógł się jej domacać. Wreszcie zapomniał o niej w durze winnym. A gdy się znów jak ta lampa rozświetliła myśl wielką zagnała jasnością, — objęła go nieodparta chęć miotnąć na poły wypróżnioną łagiewkę między te kamraty z gościńca i uciec stąd precz, dokąd nogi poniosą. Bramy miasta tego minąć aby conajrychlej, zaczęło od pierwszej furty klasztornej zakolać, — jak to nieraz już czynił po świetle, — by do ksiąg znacznych w klasztorze się dostać: Virgilim znów się podelektować, od Boetiusa Consolationem zacerpnąć, — a za najlepsze pocieszenie powiazać one myśli własne, które raz po raz to muzyką, to słowem wierszy, wyświetlają się głowie. A roi się po niej rzecz taka, na którą nikt się jeszcze nie ważył: Piekło i Czyśćciec nawiedzone za żywa; mistrz Pitagor po piekle i czyściu obwodzi, zatrzymując się u bram niebieskich. Ledwie strzępy tego blakają się w odpisach między oświeconymi po świetle, — i w wielkiem są wśród nich respektowaniu. Ale dalsze oto ciągi rozsypane są teraz w myślach, jak te paciorki zerwanego różańca, roztargane jak to sumienie samo... Za ciszą klasztoru zawyje nieraz coś w człeku głosem psa, zaskowyczy w ocknieniu tęsknoty za swym domem prawym, — osobiwie w gospodzie, gdy wybite już kruże.

A i panowie żonglerzy siedzą jakoś posepnie. Oto pochyla się któryś z nich z sekretem do goliardowego ucha:

"Gawędy dziwne słycać było w przedwiecznym dziś niepokoju ludzi: jakowychś guseł podszepto: jakoby po odpuszcie dzisiejszym blakał się przez nikogo

nie poznany, — aż powtórzyć nijako... Parsifal z Lancelotem."

Spojrzy goliard uragliwie na tę niepewność siebie i załknięcie żonglerów:

"*Laici non sapiunt ea quae vatis sunt!*" — mruknął wzgardliwie pod nosem.

Ale coś mu tam po głowie nietrzeźwej błakać się wraz jęło strzępami wspomnień. Wzywano go dziś wszakże na graalowe szukanie. Podwakręć. Raz czynił to człek żywy, potem zbroja niesamowita w żarzącego Jerzego za czarną pawężą w srebrne ćwieki. Onaż to czarę samą ukazała mu czarhojską mocą.

Ża chwilę porwie się z miejsca i stara się pociągnąć ze sobą żonglerów.

"Chodźmyż czempredzej, panowie, na ulicę złotników i platnerzy! Chodźmyż, na miłosierdzie boskie! — bodaj wejrzeniem odnowić w sobie on głód dążenia... Bez tego czymże nasza dola wagancka?!"

Zaledwie kilka kroków uczyni, a zachwieje się i runie z powrotem na ławę.

Grzbiełem domaca się węgla i usadowi wygodnie, szeroko rozłożywszy kolana. Ręce splótł na pęczciwo, z klerków nawyku, jakby różaniec zapomniany w nich trzymał; — zwiesił głowę nad czemś zamamrotaną. Żaki, respektu dla trzeźwego nie pomnie i rade, że się psota sama nastęrcza, wsunęli pod te złożone dłonie psalterz, a w palce wtknęli mu organkowe fletnie Pana.

I tak pozostawili go zadrzemu.

Mgławo, przez rzęsy, które zlepiły się ciężko, — za oćmą, za drem, migota skrzydło czerwone w blasku płomienia.

Żezem rozchyli goliard jedną żrenicę zeszklął:

"Djabel - ś?!"

Rozewrze się powoli i drugie oko. I stwierdza że herold to tylko czerwieni się u beczi skrzydłem ramienia swego.

Więc się zdrzemnął, uspokojony. Alć po chwili znów mu się rozwiera ta jedna żrenica niepewna.

"Strzyga?!"

Popatrzy uważniej okiem drugim. Na progu ukazał się, — zjaw chyba skoczki, — bo, choć lico jej niby, postać zgola już inna.

Ani tak czarodziejska różdżka nie odmieni kogo, ani tak wieszczki upięknąć nie zdołają, jak te odmienne wymyślnych swych strojów, — kobiety, — potrafią się same przeinaczyć, odnowić oczom ludzkim, odświeżyć pożądaniami.. Wyszła z izby rybałką bosą, wróciła zakłętą w dziwo strojne... A jeszcze takiego stroju nie widziała chyba i wieszczka nawet żadna, by one kragłości niewieściego kształtu nie ~~całowały~~ się powłóczyście, oczom na domysły, lecz wypychały

się niesromnie w obciągłość szaty, przylegającej do ciała samego.

Z pode łba spogląda na nią goliard.

Żonglerów twarze rozbłysły tymczasem; smakuja ich oczy, aż strapione tem, że takiego stroju nie widziały jeszcze... Czyżby?!.. Więc poczną szukać w pamięci, przypominać królów wszelakich ziemie i miasta. Komuż bō wiedzieć, jeśli nie im, waganom, którzy na to tylko oczy po świecie roznoszą, by patrzyły na rzeczy dziwne i piękne; a więc i na te motyle i kwietne powaby, jakimi kobiecie stroje cieszą oczy i mnożą samą ochotę życia? Kto wreszcie pierwsze wieści o nowych strojach roznosi po świecie, jeśli nie oni, żonglerzy? z tą ciekawością opadają ich wszak nade wszystko kobiety po miastach. — Jakże więc zapomnieć! — wyrzucają sobie.

Już! już wie któryś z nich. Ten strój najnowszy hen, skąd idzie? — aż z Polskil.. Od tatarów wzięli Polacy to troczenie kobiet; tylko, co u tamtych jak siedło na kobiecie się wydaje, u nich dwornością małą i powabem się stało. A zwie się ta szata wymysłna; — suknia!

Gdy od Polek do niewiast cesarstwa przeszła moda ta, na chwałę „suckenie gar feyn“ rozbrzęczały wraz harfy śpiewaków niemieckich. Ba, i za Renem przytrafiło się slyścić któremuś z waganów wielojęzycznych:

*Nulle robe n'est si belle
que sorquenie a demoiselle.*

I prawdziwie, — gdy stary strój kobiety jak z kamienia lub drzewa ciosanemi czyni, za topole uwysmukla, ten nowy w foremność niewieściego kształtu je toczy i umiła zdrobnieniem postaci, że zwrotna jak ten ptak na gałęzi zda się kobieta cała, — a każda w niej panną będzie.

Tak rozważali żonglerzy, karmiąc dosytnio swe oczy dziecinne.

"Suknia jest alcheruntowa, — zapamiętywali tedy uważnie, — barwy maku, w popielicowych obłogach, na jedrnych piersiach białą wstążką krzepko zmotaną i w pozłociste bajorki szyta. Zwinności przydaje i krótkość szaty, a i te chobotki niewieście, — że jakaś szparkość tupotliwa bije od postaci wdzięcznej. W kosy jak smoła polyskliwie wwiła sobie wstążeczki kraśne, jakby czerń włosów płomykiem przewiała... Niema przecie w tym stroju nowym nic tak bardzo zdrowego, a i zbytckowości nie takie znówuż królewskie. bo alcherunt tania jest tkanina, i w Polsce, skąd suknia rodem, „nędza“ się zowie. Tylko że dla goliarda i „nędza“ za bogata. Stąd nieufności smutne."

Gdy tak dumali żonglerzy, — żaki, którym szkoła niedawna zostawiła na oczach jeszcze przyćmienie

na wszelkie i munda, 'nie wiedząc zgola, czy t ładne, czy brzydkie, mieli w oczach tylko świeteczność uroczystą. Uniosły się ku skoczce ręce żaków, gdy wykrzyknęli poniewoli w chór aż pobożny:

„O, dilecta domina!”

Ale ona nawet nie zważa na to. Niedźwiednik koło niej się kręcił, po rękach całował i swoim obyczajem za kolana w pokłonach chwycił.

Goliardowi tymczasem przygasły oczy, a srożyły się tylko brwi pod kapturem.

Gdzież to była myśl jego przed chwilą? — chwycił się za głowę, obalamuconą jawieniem się skoczki. — U Muz, dżś pohańbionych na świecie. A przedtem aż piekła z Pitagorem nawiedzać chciała tem rozważliwionem sumieniem, gdy po opilstwie objęło go jak zawsze omierzenie wielkie dla całej tej goliardyi żywota swego. Do klasztoru zatęsknił w wielkiej nagle żądzy ciszy i osamotnienia, by zebrać rozsypane paciorki z różańca rojeń, skupić roztargnione sumienie.

U Muz były myśli tedy: wielkie poema o Czyściu i Piekło snuć dalej chciały. Zaś to ich rozplamienie i pęd wewnętrzny nie mocen człowiek wstrzymać w sobie do woli. Tylko diabeł potrafi cały ich rozpęd w człowieku przetargnąć z ponośliwych sfer ducha w grzeskie męty spraw kobiecych. A wtedy piekło na ziemi się iści, gdy chuci niepokój uzasobni się w żarliwość wewnętrzną. Wówczas też, co przypadek pod oczy podsunie, — osobiwie gdy to będzie rzecz nowa, — ściąga na się całą tę pasję wnętrzą. Tak pies podszcuty wpada z miejsca w szal zażarłości, gdy ujrzy przypadkiem rzecz jeszcze niewidzianą.

I oto stoi pośrodku izby ta dziewczka, przystrojona, jak jeszcze nie widziano kobiet. Niby to w szacie, — myśli goliard, — a pierśmi i na tyłach wypukła, w pasie cienko spętana, szyją gola, od łokcia ku dłoniom nie ma wcale — nic! Sprośność sama! — podjuddza się patrzeniem, — tem półodkryciem wabliwsza stokrotnie, niżli ciało gołe; a wonnością olejków pragnąca się dowabić, dolehtëać ku ostatnim pożądliwościom mężczyzn — chyba wszystkich! — myślał. Na psie wesele wyszła ta miłośnica jego! — przez innych przystrojona sprośnym wymysłem mody w te przepychy królewskie — jemu na srom, będzie jego na uragowski!

Oto idzie naprzeciw 'niego uśmiechnięta tem pytaniami.

„Nie pięknam-ż?”

Ale goliard nie widział już jej chyba wcale, bo tylko temi nastroszonymi brwiami wyzierał z pod kaptura. Przed nim stała już nie kochanka, nie jakaś tam dziewczka strojna, lecz: — kobieta, — jedna,

wszystka: szkarada sumień, matka wszeteczeństw, Babilonia wielka!

Mnich cały ocknął się w duszy.

Chwyci ją za rękę jak w kleszcz i odciąga na ubocze. Wytargnie mu się skoczka rzutem całego ciała. I już nie zdziwienie ma w oczach, ale głęboką pogardę nad tem gburstwem, które pięknie przystrojoną kobietę tak oto targać śmie. A gdy zgromi chana wejściem, rączkę swą dokładnie obejrzy, czy nie zadrapana.

„Przestroiliam się tak dla cię, — rozżali się niespodzianie, — aby i tobie na sercu dumniej się stało, — że nie skoczkę lichą masz...”

Jęła poprawiać markotnie te wstążki na piersiach zmotane.

„Nigdy nie zgadnąć, co cię uraduje, a co utrapi sumienie, — osobiwie po winie. Przykre masz serce.”

„Kto ci te szmaty kupił?!”

„A gałów tak srode nie wytrzeszczaj! — bo ja się i dominikańskich nie boję, gdy tańczącą na rynku, tak mnie przez ślepie swoje piekłem straszą.”

Wstrząśnie hardo głową: warkocze na plecy odrzuci.

„A piekło toś sobie sam w duszy nagotował myśleniem. Innego pono няма też wcale. Po co ty wszystko tak przemyślisz? czemu się tak dręczysz, człeczce? osobiwie po wychmieleniu.”

„Ktoś te szmaty kupił?!”

„Nie ty podobno. Ale niech ci to serca nie każe. I nie herold. Więc w tamtą stronę darmo białka przewracasz. Ktoś inny, jeśli cię to mniej zasmuci... Chcesz, bym w woru chodziła? Wolisz mnie półnągą na rynku, niżli przystrojoną dumnie? Wolisz? — Prawdziwie?!.. Widzisz: boś przywykł do dawnych zazdrości, niczem koń do starego zaprzęgu: jużes sobie w nim i brykał: szydził ze wszystkiego trefnem słowem: mądrzył się w życiu! Każda nowa zazdrość jest najgorsza i zupełnie psuje wam rozum.”

Pocnie ładzić te wstążki w końcach warkoczy.

„Jakiś ty luby przy czarce i jaki mądry przy starych zazdrościach! I jaki durny przy wszystkim, co nowe!... Ach, jak ja nienawidzę tych kajań się twoich! — (chwyci go nagle za piaszcz na piersiach i odepchnie od się precz.) — Nienawidzę!.. Czemu ty nie umiesz cieszyć się naszym życiem wolnem — całem? A nie tylko temi chwilkami, gdy się do mnie na lubość przyłasisz i na drugą do winy przyśmiesz. Wtedy ci tylko świat piękny. Nie cierpię! Nędzne to życie — połową serca zaledwie.”

„Lub może, — podejmie za chwilę — może ci się przy winie zroiło, poecie, żeś pan radę miejski i że masz własną żonkę pod pierzyną? Zapom-

niałeś przy winie, że mi za pyszny baldachim twego łoża przy światła gościńcach nierzadko tylko te gwiazdy po nocy świecą, a rankiem ptaki nad głową polatują. I wiedzę — (kładzie mu już śmiało rękę na ramieniu) — pokochałam ja te przepychy nasze, ale razem z wolnością moją... I dość że ci, waganiec dumny, że jabym za tobą i na ostatnie gościńce poszła? — a i z królewskiego łoża! Tylko nie mniemaj, że mi tęsknie od złotej gdzieś niewoli w twoją niedźną.“

Zredła goliardowi mina. A i ona w łagodność większą wmówiła się swemi słowy. Ściągnie mu znowu kaptur z głowy, wstrząchnie czuprynę.

„Wydymiło wino, wydymi i ta siarka piekiel ze łba, wysuszają się łyż kajania. Będziesz mi jutro po dawnemu tręfny przy winie. I mądry! — klepie go po twarzy, a błyska okiem, czy mięknie. — I lubyl — dodaje pieszcząc go paluszkami po policzkach.

Nie zmiękł, ale opadł jakoś w sobie, — w nazyb jednak smutną rezygnację i beznadność wejrzenia.

Tem ci bardziej żachnie się ona na to:

„Musiałam ci się w głębi duszy nazbyt podobać w sukni. Więc mnie zanękaś teraz tym nosem smutnym!“ (targnie mu nos ku dołowi).

„Kobieto, Bóg mi świadkiem, że nie o tobie myślę, gdy mi zejdziesz z oczu. A najmniej teraz, zanim weszłaś. Postokroć, nie o tobie!“

„Ale przeze mnie! — nastąpi nań hardo. — Bo wiedz-że na koniec, czemuś to mi luby mimo wszystko: i sercu, i głowie i dumie mojej!.. Owo, że łąk pięknie roisz przeze mnie, że się tem delektując oświeceni na świecie szerokim, — a i biskupi po pałacach swoich... Może nie tylko przeze mnie?“ — pomiarkuje się niespodzianie, zerknąwszy na dzbany winą.

„Prawdaż to?“ — pytał głucho, jakby siebie samego, wiodąc okiem za jej spójrzeniem.

I opadł na ławę, ukrył twarz w ramionach na stole:

„Vae meae menti!“

A ona, tem szamotaniem jego sumienia już do pasy dowiedziona, poskoczy za nim do stołu; jedną nogą na ławie przykleknie, ogarnie ramieniem kruż wielką, przytuli się do niej piersią, warkoczami omota.

„Patrz na nas obie — woła, — pogłaskaj jak wprzódyl!“

I uderzy w śmiech swój basowy nad tą utrapioną głową, — a zabawia palce długimi jej kędziory.

Zapatrzą się w ten obraz żonglerzy.

Lecz ona zniecierpliwi się niebawem i za te włosy podejmie mu głowę. I by policzkiem do twarzy mu się przytulić na stole się oto cała wpodłuż układa: wyupukła oczom tę pyszną kruż bioder

swoich. Gdzieś obok siebie domaca się czarki, i podstawia mu wprost pod wargi — niczem dwa kielichy — i czarkę i usta swoje.

„Pił — woła. — Całuj! — wyzywa. — Raduj że się, człeku z życia, że, prócz lubości dla się, jeszcze i szczęścia nadmiar wypijesz, wycalujesz — ludziom oświeconym na szerokim świecie! — Gdziekolwiek kompania zaćniejsza się zbierze, tam twoje wszak pieśni śpiewają przy kruzach? Gdzie się dwoje niegburów kocha, tam twoje pieśni szepczą w całowaniach?.. Kochaj więc, jak my tu wszyscy, nasze sztuki wolnel I razem naszą dole wagancką — ze wszystkim, co na niej twój diabeł uwiesił. I nie wierz w mnichów upiory. Niema diabła! Niema piekła! Niema grzechu! — krom w twojej udręce i zrojeniu.“

„Niema piekła? niema grzechu? — powtarza goliard jak ze snu. — Gdy wszystkiego już dla cię niema, dusza-ż to przecie zostaje, wieczna, — dusza nieśmiertelna! I w tobie.“

Podervie mu się przed oczyma, lecz półciałem tylko, jak ta ryba. I tak nań popatrzy. A potem trąca go kułakiem w czoło:

„Nieśmiertelna.. Wieczna! — przedrzeźnia. — I zaroilał się ta głowa utrapieńca nad wiecznościami! Jesteż gdzie wieczność? Wiesz napewno?“

„Kobieto!“ — szarpnie się w tył.

Ale daremnie: mocno ogarniała go ramieniem.

„Byś patrzył teraz na mnie, a widział, jak ja ciebie chcę w tej chwili, a czuł mnie całą do ciepłej skóry, krzyknąłbyś mi to usta — niemą wargą! A chwyciwszy w ramiona, ponosiłbyś mnie na gościńce wolne, — zaświstałbyś ludziom na szyderstwo z cnoty wszelkiej, — zagrał na piszczałkach pani Wenus samej, — jej na chwałę zaśpiewał pieśń!.. Z lubością powtarzał ją będą oświeceni po szerokim świecie... A gdy się zmęczymy szczęściem, splatać ci będę w słońcu, u źródła, wianek tej jednej wieczności, która jest. Ja ci ją dam, — nie kościoli.“

„Satana lubrica!... — zagrmi w tej chwili jak w kościele; — aż się trzęsło coś w ludziach.

Lecz w tejże chwili zerwali się wszyscy z ław. Goliard, nie wiadomo kiedy i jak, wsmignął się było na stół; już kolanem jej piersi przygniata, łokciem szyję. I szamocze się z czymś w dłoniach. Usłyszą twardy w zamku chrzęst waganckiego noża. Ciało dziewczyny trzepie się już zawczas na stole, niczem ryba na desce.

Wrzasną rybałty jednym rykiem. I rzucą się ku nim. Bóg łaskaw! — w porę jeszcze dopadli.

A gdy ją mściwość docuciła rychło, goliard obstąpił przez kamratów, z sztychem heroldowego

miecza przed piersią, zdał się całkiem pomieszany. I belkotał tylko wciąż:

„Piekla niema?! Duszy niema?! Wieczności niema?!... Dziewka nad kościoły!!“

Ona tymczasem, ledwie nogi na ławę opuściwszy, siedzi na stole i wybłyska przekleństwem z pod rozkudlanej głowy.

By uspokoić sumienie swoje i gromady po tem, co tu słyszano, przystąpi no niej linochód i rzeczy rozważnie:

„Goliard bredzić może z winnego duru lub zażdości. Byś się oczyściła z tego, coć przed nami żadał, odmawiaj tu gromko dla wszystkich „Wierzę“.. Inaczej, — zwraca się na izbę, — z kimeś my się szkaradzili, kamiaty?!“

„Odmawiaj!.. Powiadaj!..“ — wołają jeden przez drugiego. A linochód stoi nad nią z palcem wystawionym, ni ten mniha karcący.

Plunie mu skoczka w gębę. I wionie jak kot na środek izby.

„Jam kobieta wolna!.. Me a sum!.. Nikomu na się nastawać nie dam!“

„Odmawiaj! Powiadaj!“

Wyszarpnie się im; a pojmana przez innych wytarga się, wyszczypie im z rąk.

„Baczcież tedy, co wam odmawiać pocznę, wy nędzne... wy...!“

I odsadzi się pod komin, by ją wszyscy dobrze słyszeli, — już furja w płomieniach buntu:

„W Baccha wierzę!.. W panią Wenus wierzę!..“

W izbie wszczął się ryk jeden i zakłębienie tumultu. A nad wszystkim grzmiał głos linochoda, by ją z miejsca w kominie powiesić.

Goliard już nie wiedział, zali prawdziwe rzeczy ogląda. Herold, zda się, swem baniastem ramieniem jak skrzydłem czerwonym ją ogarnął — i okrutnym blaskiem z pod tego skrzydła odgrodził od ludzi.

Ale wszystko wino dzisiejsze, przypomniane znów wzburzonej krwi, objęło go znów zamroczeniem nagle. Rozchwiał się po izbie, aż się rękami beczki w kącie domacał. Osłabłe, nie uczępiły się jej krągliści: — zwałił się głową między dzbany, lampę oliwną u kurka potracił i zamotał się cały w jej swędy i dymy.

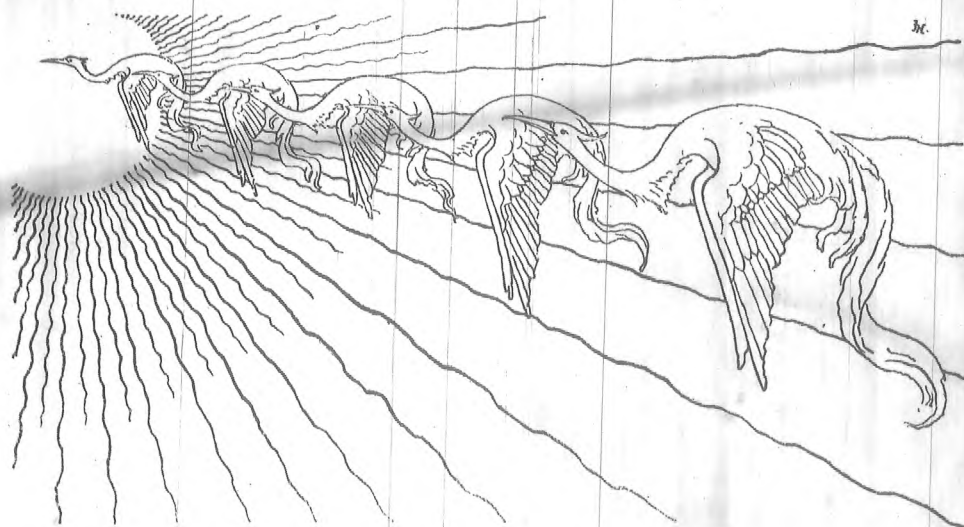
Ciemność zaległa piwnicę.

A w tem runięciu o ziemię zdało mu się, że jakowaś zamięć gwałtowna wstrząsnęła domem całym. Przez komin stacza się coś z łoskotem, spada a tupocze głucho o mury. Z owisłej na izbę czełści dymnika zwala się na żuzłé kominia koźlisko czarne o skrętnych rogach. Jednem targnięciem przyodzewku obnaży się skoczka palciem. I dosiędzie onego kozła. Spina go białem udem, piętą daje ostrogę — i wlatuje na nim w rozwartą dymnika jamę; turkocze okrutnie po murach w kominowym pędzie. A na izbę buchnie dym czarny i wybłysną na wsze stroiny żółte języki siarkowego ognia, — aż rybały wszystkie złote mieli twarze i zielone oczy.

Ale już nie ruszał się nawet — rzeził tylko u beczki.

(C. D. N.)





OGRODNIK

RABINDRANATH TAGORE.
Z ANGIOLESKIEGO PRZEKŁADU AUTORA SPOLSZCZYŁ
JAN KASPROWICZ.



TAK OSWOJONY był w klatce, ptak wolny był w lesie.
Spotkały się, gdy nadszedł ich czas, kazało tak przeznaczenie.

Ptak wolny zawoła: „O luby mój, lećmy do lasu!”

Ptak w klatce odwieknie „Chodźmy, żyjmy tu oba w tej klatce!”

Powie ptak wolny: „Gdzież miejsce po za prętami, by móżd rozwinąć skrzydła?”

„Ach!” zawoła ptak w klatce, „nie wiem, gdzie mógłbym spocząć w przestworzu bez grzędy!”

Ptak wolny zawoła: „Mój drogi! wyspiewaj-że mi pieśń lasów!”

Ptak w klatce odpowie: „Siądź przy mnie, nauczę cię mowy uczonych.”

Ptak leśny zawoła: „Nie! o nie! pieśni przenigdy nauczyć się nie można.”

Ptak w klatce odpowie: „Ja biedny! Nie znam-ci pieśni lasów!”

Miłość ich gorąca, pełna pożądań, jeno że latać nie mogą skrzydło obok skrzydła.

Spoglądają poprzez pręty klatki i płoną ich chęć, by się poznali wzajemnie.

Biją skrzydłami z tęsknoty i nuca: „Zbliż się, mój miły!”

Ptaka wolny zawoła: „To być nie może, lękam się zamkniętych drzwi twojej klatki.”

Ptaka w klatce odwierknie: „O biada! Skrzydła moje bez siły, umarłem!”

O MATKO, MŁODY KRÓLEWICZ przejeżdżać musi obok drzwi naszych, jakżeż ja poranku tego uważać mam na swą pracę?

Pokaż mi, jak zapleść mam włosy, powiedz mi, jaki mam strój wziąć na siebie?

Dla czego z takim zdumieniem spoglądasz na mnie, o matko?

Wiem, że ani na chwilę nie spojrzysz w moje okna. Wiem, że w mgnieniu oka z przed mego zniknie oblicza, milknący li dźwięk jego fletni przytępywać będzie ku mnie z oddali.

Atoli młody królówicze przejeżdżać będzie obok drzwi naszych! Ja na chwilę wdzieję na siebie, co mam najlepszego.

O matko, młody królówicze przejechał obok drzwi naszych i słońce poranku zaśnięło na jego kolasie.

Odsunęłam zasłonę z oblicza, rubinowy łańcuch zdarłam ze szyi, by mu rzucić pod stopy.

Dla czego spoglądasz na mnie z takim zdumieniem, o matko?

Wiem-ci ja, wiem, że nie podniósł mego łańcucha, wiem, że zmiażdżył go jego koła i że w pyłe ślad pozostawił czerwony i niewiadomo nikomu, co dar mój ten znaczyl i komu był poświęcony.

Atoli młody królówicze przejeżdżał obok drzwi naszych i ja klejnot zdarłam z mej piersi i rzuciłam mu go pod stopy.

GDY ZGASŁA LAMPA przy mem łóżku, zbudziłam się razem z ptactwem porannem.

Siadłam przy oknie otwartem, z świeżą wianką w rozpuszczonych włosach.

Wędrowiec młody przechodził drogą w różanych mgłach porankowych.

Miał łańcuch z pereł na szyi, a promienie słoneczne padały mu na głowę. Zatrzymał się u mych drzwi i głosem zawołał namiętnym: „Gdzie ona?”

Z wielkiego zawstydyzenia zawołać nie mogłam: „Ona to ja, młody wędrowcze, ona to ja!”

Był zmierzch, nie świeciła się lampa.

Splatałam włosy bezmyślnie.

Młody wędrowiec zjawił się na swym wozie w blaskach zachodzącego słońca.

Rumaki jego nozdrza miały spienione, a proch był na jego sukni. Zeszedł z wozu u drzwi mych i zmęczonym zapytał głosem: „Gdzie ona?”

Z wielkiego zawstydyzenia odpowiedzieć nie mogłam: „Ona to ja, wędrowcze znużony, ona to ja!”

Noc kwietniowa. Lampa się pali w mej izbie. Wiatr z południa skradzie się cicho. Wrzaskliwa papuga zasnęła już w klatce.

Mój stanik ma barwę pawiej gardzieli, a płaszcz mój zielony, jak młoda trawa.

Siedzę na podłodze przy oknie a wzrok mój śledzący błądzi po opuszczonej drodze.

W noc ciemną nie przestaje szeptać: „Ona to ja, zrozpaczony wędrowcze, ona to ja!”

GDY NOCĄ NA MIŁOSNE spieszę spotkanie, ptactwo nie śpiewa, wiatr się nie rusza, domy po obu stronach drogi stoją milczące.

Tylko nagolenniki moje za każdym brzęczą krokiem i ja się wstydzę.

Gdy siedzę na balkonie i nad słuchuję kroków jego, liść nie szeleści na drzewach i woda w rzece cicha jest, jak miecz na kolanach śpiącego strażnika.

Tylko me serce bije namiętnie i nie wiem, jak je utrzymać w spokoju.

Gdy zjawi się umiłowany mój i siądzie przy mnie, gdy ciało me drży i opadają powieki, wówczas noc staje się czarna, wichher gasi lampę a obłoki zapuszczają zasłonę na gwiazdy.

Kosztowny tylko kamień lśni na mej piersi i daje światło.

Nie wiem, w jaki ukryć go sposób.

RZUĆ PRACĘ, OBLUBIENICO! zważaj, gość przyszedł.

Słyszysz, jak lekko potrząsa łańcuchem zamykającym drzwi?

Zważaj, by nagolenniki twe zbyt niegłośno nie uprawiały hałasu i by krok twój zbyt się nie spieszył, gdy wyjdiesz naprzeciw niego.

Rzuć pracę, oblubienico, gość przyszedł z wieczora.

Nie! nie wiatr to upiorny, nie lękaj się, oblubienico.

To pełnia miesiąca w nocy kwietniowej, poblądłe cienie w dziedzińcu, górą niebios błękitne.

Zaciągnij zasłonę na twarz, jeśli inaczej nie możesz, ponieś lampę ku drzwiom, gdy się boisz.

Nie! Nie wiatr to upiorny, nie lękaj się, oblubienico!

Nie mów z nim ani słowa, jeśliś onieśmielona, cofnij się od drzwi, gdy się z nim spotkasz.

Jeśli się zwróci z pytaniem, możesz, gdy zechcesz, w milczeniu spuścić powieki.

Niechżeć naramienniki nie brzęczą, gdy z lampą w ręku prowadzić go będziesz do wnętrza.

Nie mów z nim ani słowa, jeżeliś onieśmielona.

Jeszcze nie gotowaś ze strojem, oblubienico? Zważaj, gość przyszedł.

Nie zapaliłaś światła w oborze?

Nie przysposobiłaś ofiarnego kosza na bożą służbę wieczorną?

Nie uczyniłaś czerwonego znaku szczęścia na czole i nie przystroiłaś się jeszcze na noc?

Oblubienico, słyszysz? Gość przyszedł.

Porzuć swą pracę!

(C. D. N.)



Rysunek I. Władysław Skotarek.

TUŁACZ.

*Znużony długą z dalekich krajów
Powietrzną jazdą,
Klekocząc zleciał bocian radośnie
Na dawne gniazdo.*

*W obszerz pachniały te same łąki,
Te same kwiaty,
Ci sami ludzie wyszli co dawniej
Z tej samej chaty.*

*Z drogi wstał człowiek. Z twarzą zawistnym
Zrytą cierpieniem
Podjął żwir z drogi, na białość ptaka
Ciśnął kamieniem.*

JERZY DROBNIK.



Rysunek II. Władysław Skotarek.

Z cyklu CZERWONE ŚWIATŁO OGNISKA.

DYM.

Dym?

Mówisz: dym, prozaiku suchy jak ryba morska a oziębły jak monokl dżentelmena angielskiego?

To nie dym! Nie dym!

Czekaj, powiem!

Wiada wdowa z cmentarza a wicher porywa jej welon żałobny. To welon żałobny wdowy wracającej z cmentarza. —

Czekaj, to ponury korowód ludzi posępnych, dążących za trumną. —

To smutny łańcuch czarnych dni pokuty, zrodzonych z ognia namiętności, przerażającej jak okrzyk ostatni. —

Albo to zaduma śniętna śnieżnego lirnika płaczącego nad stepami. —

Albo to świętość kadzidla ofiarnego. Czy słyszysz śpiewne modły druidów?... Nie słyszysz? Czy słyszysz szepty tłumu miękkie jak szum łąn zbożowego? — Nie słyszysz?! —

Czekaj! To może dusze ludzkie tam się kąpią w krynicy swego szczęścia! O tak, odgadłem! Czy widzisz ona! bezkresną pielgrzymkę dusz do tej świątyni krężnej? Płyną, płyną zewsząd dusze i spływają się i rozplwają w powojach słodkich niepamięci i płyną dalej ku nieskończoności. —

Czy widzisz, prozaiku oziębły jak monokl dżentelmena, ich płasy nieme a szalone jak szczęście dziecka? Wejrzyj w górę! Pną się puszyste kłęby, uzłocone czerwoną magią ogniska i tłumnym wirem wchodzą w legendarny mrok, a kędy wpadają w tajemniczy Styks rozłożystej gałęzi sosnowej, tam ich cel.

Tam ich szczęście, nirwana, eden. —

O którejś godzinie nocy takiej poddawałem się słodczy nastroju, siedząc przy ognisku i w górę patrząc.

Atoli jakiś faun złośliwy, co dotychczas spał skromnie w gąszczu, zaczął dmuchać gorliwie w ogień wietrzykiem. Wnet pochylił się słup dymu i obalił zupełnie, i wówczas cała chmura dymna poszła na mnie. Dym wdarł się do ust moich. Zakrzusilem się i porwałem z siedzenia.

A gdym schronił się w miejsce bezpieczne, w oczach miałem gryzące łzy, twarz osmoloną, zaś płuca pełne trującego czadu.

O faunie złośliwy!

ARKADY FIEDLER.



Rysunek III. Władysław Skotarek.

KOŚCIUSZKO W ŚWIELE MESYANIZMU POLSKIEGO

(DOK.)

Zwłaszcza po kongresie wiedeńskim, sankcjonującym rozbiory Polski, — w grobowo cichej Solurze, w której osiadł, „nie mogąc zdalnie usłużyć Ojczyźnie“, co dlań zawsze „pierwszym“ było „przedmiotem“¹⁾, wyrósł Kościuszko w duchu na bohatera większego, niżli nim był czasu insurekcji. Wtedy też — wedle przeświadczenia towiańczyków — najwięcej działał dla zbawienia swego i Ojczyzny. Podobnie — Napoleon — pokutnik na wyspie św. Heleny.

„Kościuszki wielkość w tem — zdaniem Goszczyńskiego, że nie dał sprowadzić do Polski przeciwnej ideałowi, który nosił w duchu swoim, to jest Polsce chrześcijańskiej.“

U Słowian miłość Ojczyzny ma charakter odrębny. Najdobitniej zaś wyraziła się ona wśród Polaków — i jest — znów wedle określenia Goszczyńskiego — uczuciem nawskroś „religijnem“, przedewszystkiem miłością ojczyzny duchowej, to jest myśli Bożej, leżącej na narodzie, — miłością powołania duchownego, zakreślonego wołą Bożą narodowi.“

Przeto „Polak“ chrześcijanin nie przestanie na lada ojczyźnie, na lada Polsce; jemu trzeba ojczyzny ziemskiej, odpowiadającej ideałowi ojczyzny niebieskiej, na którą pracowali przez jakiś czas jego ojcowie, od której później oddalono się, dla której dziś cierpimy“.

I w tej myśli — najwyższym „ideałem Polaka, ideałem Słowianina“ jest Kościuszko. —

On, ofiarник narodu, rozumiał myśl Bożą o Polsce, i, zaiste, był „jedynym prawdziwym Polakiem w Europie“...

Jak Eneas, uniósł w sobie palladium narodowe na ziemię obcą, — i w dobie powszechnego władztwa oportunistów narodowego, on, sam jeden, niezłomnym był stróżem godności Ojczyzny, którą w duchu nosił.

Nigdy z nikim w żadne targi o Polskę nie wchodził. Groźbą nieustraszony, odmówił on spółdziałania swojego Napoleonowi, kiedy chodziło niby o Polskę, a rzeczywiście o użycie Kościuszki za narzędzie, zmienienie Polski w narzędzie“²⁾.

„Głupcem“ nazwany przez rozgniewanego, dumnego zdobywcę pół świata, i skazany na to, by być

tylko niemą protestacją, „bohater Północy“ chciał się układać z „bohaterem Wschodu“³⁾ jak sprzymierzeniec z sprzymierzeńcem, żądając odeń gwarancji, zapewnienia odbudowy całej, niepodzielnej Ojczyzny swej, — i jasno przewidując, że Napoleon będzie „żałował, jeśli wzgardzi naszą dobrą wolą“⁴⁾.

Jak *pater patriae*, cichemi ofiarami swemi w duchu podniósł cenę narodowości polskiej i nawiązał z upadkiem życia religijnego zaniedbane obcowanie ziem polskiej z niebem polskim — naszych świętych, królów, hetmanów. A bez ich pomocy my, tużemscy pielgrzymi, sami za słabi jesteśmy, by móżdź zwyciężyć „nieprzyjaciół, których gniazdo samo jest na tamtym świecie, i którzy przez organa swoje czynią na ziemi“ — wedle dopuszczenia Bożego za winy nasze“⁵⁾.

Kościuszko — nauczał Towiański —, „służąc Ojczyźnie, naśladował... Chrystusa w ofierze Jego zupełnej — i jako sługa wierny, żyjący, czynny, uczynił on dla Ojczyzny, w częste mu naznaczonej, to, co Chrystus uczynił dla świata w pełni“⁶⁾.

Choć tego nie ogłosił dotąd Kościół, głos milionów dusz daje świadectwo prawdzie, że Kościuszko jest „najwyższym Polakiem chrześcijaninem, wysokim Świętym polskim.“⁷⁾

I aczkolwiek mieliśmy mężów świątobliwych, co go przewyższali żarliwością religijną, i bohaterów wielkich, szczęśliwszych odeń, wszakże „żaden z nich nie wyrównał Kościuszcze w spełnianiu istoty chrześcijańskiej, w objawianiu chrześcijaństwa na polu publicznym; żaden z takimi zaparcie siebie i z taką ciągłością nie żywił w sobie ognia chrześcijańskiego, niebieskiego, i nie wydawał go tak świecie i tak wytrwale, wśród trudnych okoliczności, w czynach swych dla Boga i dla Ojczyzny chrześcijańskiej.“⁸⁾

Porównanie Kościuszki z Piastem, rzucone przez Mickiewicza w Wykładach, głębiej a zgodniej rozwinięte: Towiański w *Pismach* i Goszczyński w notatach swych niewydaných.

Piast i Kościuszko to „dwa słupy graniczne w życiu Polski.“⁹⁾

Piast mianowicie to punkt wyjścia Polski po-gańskiej ku Polsce chrześcijańskiej. On w duchu zakreślił wzór życia Polski i wytyczył jej drogi na tysiąclecie, „na jedną epokę“. Po nim przyszedł har-

¹⁾ Z wymiany wzajemnych komplementów w czasie wizyty Bonaparte'go u Kościuszki w r. 1799. — Korzon: *Kościuszko*. Str. 514.

²⁾ Z rozmowy Kościuszki z ministrem Fouché w r. 1806. Korzon: *Kościuszko*. Str. 521.

³⁾ Andrzej Towiański: *Pisma*. T. III. str. 89.

⁴⁾ Tamże, str. 92.

⁵⁾ Tamże, str. 93.

⁶⁾ Goszczyński.

⁷⁾ Towiański: *Pisma*. T. III. str. 89.

⁸⁾ Z listu Kościuszki do księcia Adama Czartoryskiego, z 25 czerwca 1815 r. — Tadeusz Korzon: *Kościuszko. Życiorys z dokumentów wysnuty*. Kraków, 1894, Facsimile VII.

⁹⁾ Goszczyński.

monijny korowód mocarnych duchów: Bolesławów, Łokietków, Kazimierzów Wielkich, Jagiellów, Sobieskich i i.. realizatorów myśli pierwszego Króla-Ducha narodu.

Po tem tysiącleciu, co zaznaczyło się wielkimi cnotami oraz wielkimi winami, które wreszcie spowodowały polityczny upadek narodu, znalazło się życie Polski u przelomu.

Tym drugim słupem ognistym, „u schyłku dawnej Polski, u samych już wrót pokuty“ otwierających drogę do Polski odrodzonej, Bożej, jest Kościuszk o. On, jak nikt przedtem z Polaków, najwyżej podniósł w Polsce myśl Bożą, „chorągiew Chrystusa... w obronie Ojczyzny, jej prawdy, jej wolności.“ Był w Polsce Janem Chrzcicielem „epoki chrześcijańskiej wyższej, w której naznaczone jest zmartwychwstanie, odrodzenie się, życie chrześcijańskie wolne — i cała przyszłość Polski.“¹⁾ Stał się pierwowzorem Polaka tej Polski, „która będzie.“... Jako ojciec narodu, zakreślił jej w duchu swym drogę przyszłe na epokę całą.

W duchu Kościuszki ziemska wielkość Piasta podniosła się na stopień wielkości niebieskiej, przedtem nieznanej w naszym życiu narodowym.

Choć w hierarchii ducha o nieco różni, Piast i Kościuszk o tacy sobie podobni: przez swą prostotę i czystość serca, przez swą rzewność, serdeczność, przez swe proste, naturalne a swobodne życie a nade wszystko przez swe umiłowanie tego, co dobre, szlachetne, sprawiedliwe, — przez te wrodzone cechy duszy słowiańskiej, jakie najdobitniej przejawiały się w życiu Polski.

I te drogie zalety duszy słowiańsko-polskiej, uszlachetnione i umocnione przez wpływ chrześcijaństwa, sprawiły, że w duszach narodu polskiego żywiej, niż gdzieindziej, płonie ogień życia religijnego, — mimo powszechnego upadku wiary w Boga.

Cechy duszy piastowskiej, wraz z najżywszą wiarą w Boga, w największej czystości przechowały się w narodzie polskim — w duszy kmiotka, którego uchu i oku zrozumiałych i jasnych jest wiele tajemnic Bożych, zakrytych dla mądrych i uczonych wedle cywilizacji i kultury pogańskiej, płynącej z obcego ducha.

Naczelnik w sukmanie porwał za sobą lud i zjednał sobie u niego mir tak powszechny, jak nikt drugi w Polsce, bo kmięć polski odgadł, odczuł w Wodzu posłannika Bożego, najczystszy wyrazić ducha narodowego, w duchu starszego brata, kmięć z kmięć narodu.

Wedle przeświadczenia mesyanistów naszych, narody są to wielkie rodziny duchów sobie podo-

bnych. Jak dusze są nieśmiertelne, tak więc i narody nie umierają.

Każdemu narodowi — jako gromadzie dusz wolnych, przez Boga stworzonych a nieśmiertelnych — wyznaczyła Opatrzność Boża jakąś myśl do zrealizowania.

Są pewne narody, gromady dusz, wybrane, starze w hierarchii duchowej, które zasłużyły się większą wiernością i żarliwością w służbie Bożej Sprawy. W nagrodę więcej im Bóg dał łask, ale też więcej od nich wymaga, a za przewiny tem silniej dociska.

Do „narodów wybranych“, „zraelskich“, „kapłańskich“, mających szczególne posłannictwo, zaliczali mesyanisci, zrzeszeni około Towiańskiego, — Żydów, Francuzów i Polaków.

Każdy z tych narodów ma swego ducha przewodniego, swój „urząd myśli Bożej“; ma swego ducha opiekuńczego, dbającego o spełnianie się woli Bożej w życiu narodu.

Wedle określenia Goszczyńskiego — : „Mojżesz, Napoleon, Kościuszk o — trzej wielcy ojcowie trzech wielkich narodów; trójca-jedność w Słowie Bożem, w tej samej myśli Bożej.“

Naród polski stanowią wszystkie dusze polskie — czy one ciała ludzkie noszą, czy też nie — , czy są „w tej ziemskiej odzieży lub też bez odzieży tej.“¹⁾

W tryumfującym kościele Polski — jej świętych wielkich królów i hetmanów, mężów prawych, rycerzy bez skazy — Kościuszk o hetmani, i stamtąd kontynuuje służbę Ojczyźnie swej ziemskiej. I jest on dla niej „gwiazdą przewodniczką“, „zorzą dnia Bożego, zbliżającego się...“. Bezużyteczne a błogosławione oddziaływanie Kościuszki na nas z zaświata, wyjaśnia ten czarowny kult, jakim otaczamy ducha jego. „A nie tylko Polska — objaśniał Towiański — ale i świat cały czuje w Kościuszk o potęgę moralną; czuje coś niezwykłego, a ożywiającego i podnoszącego duszę... Jak za życia okazywał Kościuszk o charakter przystępny, wyrozumiały, wchodzący we wszystko, spólący się ze wszystkim, on czyste i proste, co na linii Bożej; jako za życia dobroczynnie wpływał, ożywiał, podnosił, — tak i po śmierci toż samo czyni... Dla tego też nie może Polak zapomnieć Kościuszki, bo nie może być zapomnianym ten kto ciągle przypomina się obecnością, a więcej jeszcze czynną miłością i ofiarą swoją.“ —

Ofiara ducha nigdy na marne nie idzie i nie ginie; jeśli nie zaraz, to później owoc przynosi hojny.

¹⁾ Tamże, str. 90.

²⁾ Tamże, str. 126.

³⁾ Tamże, str. 90.

Krzyżowa ofiara Chrystusa Pana, acz — niezrozumiana i nieprzyjęta — nie dokonała w świecie nagłej przemiany, przecie stworzyła cudowny źródło odkupienia, co już przez dwadzieścia wieków podnosi ludzkość i będzie ją podnosił, aż do skończenia świata, — w miarę czerpania zeń.

Podobnie — zdaniem Towiańskiego — z ofiarą Kościuszki. Nie mogła ona uratować, zbawić Polski „wśród ciemności, które w dniach pokuty zaległy ją.”¹⁾ Ale im liczniejsi będą ci, co rozumieją i uczą skarb ofiary Kościuszki; co będą szukali duchowego związku z Kościuszką i żyli i działali jako jego żołnierze, wedle jego natchnień, — tem bliższy będzie dla nas dzień zmiłowania Bóże.

W tej więc myśli nawoływał Towiański w Kole: „Stawajcie się organami (narzędziami natchnień) Kościuszki i wielu braci naszych, tęskniących z tamtego świata do życia w Polsce, do służenia Polsce.”

Ongi sam zapalczywy „demokrata”, a po zetknięciu się z Towiańskim żarliwy szermierz ducha narodowego i chrześcijańskiego, Goszczyński, proponował dawnym swym druhom przyjęcie nazwy: „kościuszkowców”. Będzie to — pisał w r. 1869 — najodpowiedniejsza istocie, którą każdy Polak nosić w sobie powinien”. Bo „demokracja”, w jakiej toniemy, jest częstokroć wytworem ducha wrogów naszych, co pod zwodniczym hasłem „postępu, cywilizacji”, zalewa nas zczudoziemczeniem, wywłaszcza nas z ducha polskiego. Przmiotami takiej „demokracji”: kosmopolityzmem i niereligijnością — wedle trafnej obserwacji Goszczyńskiego — najbardziej jest u nas dotknięta: „inteligencja”, — prawdziwy zaś „brat ludu polskiego, chłop polski, jest ten, kto się urobi na wzór Kościuszki.”

Chociaż „on mocy” ducha Napoleona większym czarem oddziaływał na Koło braci, jednakże bez zastrzeżeń uznawano absolutną wyższość ducha wy Kościuszki.

Bóg wojny, „ośniony potęgą środków ziemskich”²⁾, przez dumę szaloną, moralnie spadał coraz niżej i sprzeniewierzał się posłannictwu swemu.

Kościuszkę — wedle słów Goszczyńskiego — wprowadzie „nie zajaśniał wielkością ziemską” tej miary, co Napoleon. Ale „w całym zawodzie jego publicznym, a później w życiu prywatnym nie znajdujemy ani śladu dumy”. Był on zawsze niezłomnie wierny misji swej, ideałom swym polskim i chrześcijańskim. W ustronnym zakątku, kończąc „swe wielkie, choć ciche, życie chrześcijańskie”, wciąż „w duchu — i „wskazał przykładem swoim, jak służyć Bogu i jak

być wiernym Ojczyźnie. Wszelkie pokusy ze świata idące odrzucił, czystym przed Bogiem, aż do śmierci pozostał...”³⁾.

„Zwycięzca Europy i bohater Wschodu” dopiero na wyspie św. Heleny uznał, że sprawa polska jest „zwornikiem sklepienia europejskiego.” Tam też dopiero zrozumiał i ocenił wielkość i czystość ducha „bohatera Północy”, i pojednał się z nim w duchu.

Wedle wierzenia towianizmu — te dwa wielkie duchy opiekuńcze swych narodów służą już odtąd zgodnie spełnianiu się Sprawy Bożej na ziemi.

A w obliczu takich potęg duchowych, jak Napoleon i Kościuszkę — „wszystkie inne wielkości obecne ludzi — zdaniem Goszczyńskiego — są to chińskie cienie; za chwilę może ani ich śladu nie ujrzymy”.

Napoleon i Kościuszkę są nieśmiertelnymi symbolami Francji i Polski, uosobionych w dwóch swych duchach najwyższych. Są to — jak określa dalej Goszczyński — „dwa ogniwa w łańcuchu dwóch narodów, najwierniej wiążące przeszłość z przyszłością; dwa ludy wystawione w dwóch osobach najwierniej z ich cnotami i niedostatkami; nakoniec dwa ideały dla dwóch ludów, a przez te dwa ludy dla całej ludzkości na długie a długie wieki”.

„Nie pojmie Napoleona, kto nie pojmuje Kościuszki; nie pojmie Kościuszki, kto nie pojmuje Napoleona.” Cechy bowiem tych dwóch królów-duchów, mianowicie „czystość ducha” Kościuszki i „moc czynu” Napoleona, wzajem precyzyjnie się dopełniają.

W tej też wierze sędziwy mędrzec narodu, Goszczyński, słał do swoich „ziomków” takie zbawienne wezwania:

„Umiejcie cierpieć, jak Kościuszkę, — zachowując całą czystość ducha; a w danej chwili umiejcie być energicznymi, jak Napoleon”.

Pół wieku dobiega, odkąd również odeszło ku innym Bożym światom pokolenie tych „żołnierzy Kościuszki”, którzy tak rozumieli i wielbili niebieskiego „Hetmana Polski”.

Odtąd część i miłość ku Kościuszcze — co wołał, aby „był raczej zapomniany, a Ojczyzna... wolna została” — potężnie upowszechniła się w narodzie naszym.

Dziś imię Kościuszki czarowną ma moc. — Wszędzie, gdzie tylko żyją ludzie dobrzy, szlachetni, wolność miłujący, budzi ono entuzjazm dla tej sprawy, co jest „zwornikiem sklepienia europejskiego”...

1) Tamże, str. 91.

2) Goszczyński.

3) Romuald Januszkiewicz: *Extraits de lettres et documents*. Str. 56.

A najsilniej przejawia się cudowny wpływ ten — na drugiej światu półkuli, o której wolność On też walczył.

I nie jest to czemś przypadkowym, jeśli w setną rocznicę śmierci Kościuszki, święconą w dobie epokowych zmian w świecie, kult nieśmiertelnego Wodza Polski, Bohatera dwóch światów, u zenitu staje.

Jest to niewątpliwie tylko dziękczynny oddźwięk milionów dusz na wpływ duchowy, jaki z zaświata na losy Polski wywiera Kościusko. —

Aczkolwiek tamci „żołnierze Kościuszki“ z przed pół wieku, na ogół skąpi o nim pozostawili dorobek literacki (Mickiewicz pamięci jego zaledwie przy kilku okazjach po kilkanaście wierszy poświęcił), wszakże stworzyli oni najpiękniejsze poematy na cześć nieśmiertelnego Wodza Polski — poematy czynu, z życia własnego.

U nich zrównywanie w znaczeniu narodowym Kościuszki z Mojżeszem, nie miało ani cienia epitetu retorycznego z XVIII wieku, lecz było wyrazem głębokiego wnikięcia w wartość duchową Kościuszki oraz niezwykle szczerego i żarliwego ich kultu religijnego dla Kościuszki.

Wyrazu zaś piękniejszego i głębszego — lub przynajmniej podobnego — w stosunku do Kościuszki, trudno się doszukać w powodzi naszej literatury kościuszkowskiej.

Gdy zatem święcim setną pamiątkę zgonu najwyższego Naczelnika narodu, złożmy i duchom owych jego „żołnierzy“ — co wiernie i wysoko dzierżyli „przezysty sztandar polski i chrześcijański“ — hołd z uczuć serdecznych czci i miłości...

Rapperswil.

JÓZEF KOMENDA.



Rysunek J. J. W. (J. W. Komendy)

DYABLI MŁYN

WITOLD BUNIKIEWICZ.

*Kręci się koło, młyńskie koło,
w skrzydła uderza brudna woda,
spalił dziś pożar całe sioto,
szkoda dobytku, wielka szkoda!
Koło się kręci, kołem, kołem,
warcząc nad zgłiszczem i popiołem.*

*Piorun ugodził w nową strzechę,
poraził w łóżu parę młodą,
śmierć mieli szybką, nie uciechę,
dzisiaj na cmentarz ich powiodą
i sółtysowy ród wyginie,
kręci się kołem koło w młynie.*

*A z tej radości baba Jaga,
biesim kochankom zawsze miła,
na wydmie, gdzie się człek przejść wzdraga,
ślepe bliźnięta porodziła,
aby do syta jadły, piły
podcięta sobie w gardle żyły.*

*Tętnica krwawi szkłem rozcięta,
już martwe serce nie zastuka,
krew z żył łączywie ssą bliźnięta,
do snu im wyje bura suka,
na niebo wyszedł miesiąc złoty,
wysłuchany w młyńskich kół klekoty.*

*Wciąż warczy koło, kręci, miele
a pytel sypie w sakwie krupy,
goście przyjadą na niedzielę
do zawalonej w gruz chałupy,
gościna musi być wesota,
kręcą się kołem młyńskie kół.*

*Pozwał wisielec przyjacieli
i bies sąsiadów sprosił mnogo
by udział w sutych chrzcinach wzięli
z krewnymi, służbą i załogą.
Północny wichur dmie na dworze
i sprasza kogo tylko może.*

*Upiornie zapiał dech wichrzycy,
zamąca drogi, trakty mota
i z całej ciągnie okolicy*

*najrozmaitsza w dom hołota
i potępieńców spieszą tłumy,
aby zawczasu przybyć w kumy.*

*Bezżębna, stara ulicznica,
pojawia się wśród uczt nago,
już barwi morem zżarte lica,
narady toczy z głupią Jagą
a młyn im przytakuje zdala
i z bluzgiem wodę w topiel zwala.*

*I warczy, pluska, bryzga, bieży,
aż brudna fala się zapieni,
młynarz dorzuca ziarna z dzierzy
w paszczę kręcących się kamieni,
radosny, że mu idzie praca
i koło kołem się obraca.*

*Miękuchną mąkę rad przeważa,
inną do chlebów i kołaczy,
inną na Hostyę do Ołtarza,
inną dla biednych i bogaczy
a inną mąkę w pytlu miele
na biesią ucztę w tę niedzielę.*

*Już potępieńców mnich rozgrzesza,
pięknie kazanie rzekł z ambony,
aż się rozwyła grzesznych rzesza
i dzwon zajęczał utopiony
a mniszka młoda, urodziwa
na chrzciny dwojga bliźniąt wzywa.*

*Na stawne chrzciny, zaślubiny
wisielca z głupkowatą Jagą,
pan młody pysk ma nieco siny,
baba pogląda wkrąg z powagą,
nie może stłumić swej radości,
że mąkę miele młyn dla gości...*

*że szumi, bryzga, bluzga, krzesze,
że przesypuje strugi wody,
i nie posiada się w uciesze
choć taki siny jej pan młody,
choć na ślub zjadą dyable moce,
bo młyn się kręci i klekocel*

Fala zaś pryska, bryzga, jęczy
a kowal kuje na kowadle
łańcuch do spięcia dwóch obręczy,
pot go oblewa, klnie zajadle,
trudzi się z ogniem i żelazem,
by obluźnić spoić razem.

Pierwszą tę obręcz družka poda,
družba już drugą skuwą brząka,
wielce szczęśliwa panna młoda,
że wreszcie będzie mieć małżonka,
pan młody na gałęzi ziewa,
zwieszając chude nogi z drzewa.

Pan młody wisi na gałęzi,
sterczą jak kije ręce blade,
wichura rwie się z swej uwięzi,
by z nim zatańczyć galopadę,
wisielca trąca, aby społem,
puścił się w takt z młynarskim kołem...

co skomli, świszczce, wyje, ziębi,
co sperła krople, rosą pryska,
co wzrusza nurty aż do głębi
i żłobi wiry w dnie bagniska
a wisielcowi gra do ucha,
gdy wraz z nim tańczy zawierucha.

Pod wierzbą prawią się obrzędy,
skuli skuwami obie szyje,
pójdą już społem, społem wszędy,
nikt mocnych spojeń nie rozbije,
wieczyste będą trwać łańcuchy,
na wydmach świszczce wicher głuchy.

Żelazne zacieśniono pęta,
deszczu pokrapia ich szaruga.
w kałuży biorą chrzest bliźnięta,
noc taka wietrzna. zimna, długa,
z podwalin domu próchno świeci,
cicho usnęły w bagnie dzieci.

Więc nowożeńcom ścielą łoża,
na lepkiem wale u cmentarza,
wstydliwie idą i w pokorze,
każdy podarkiem ich obdarza.
grudkę na zimne ciska oczy
a młyn się ciągle gzi i toczy.

A koło szemrze, szumi, szuści,
najczulej pieści, pierzcha, płynie,
wisielc żony nie opuści,
choć młyn się zwali, świat zaginie,
choć wyschnie całe wkrąg jezioro,
babie małżonka nie zabiorą.



MISCELLANEA

PAWILON RODINA NA WYSTAWIE PARYSKIEJ.¹⁾

Kto przywykł patrzeć na rzeźbę klasyczną, kto żył się z uświęconą tradycją, harmonją kształtów i linii — z trudnością orientuje się na razie w nowożytnej sztuce. Nie dziw: inne były ideały i pragnienia tamtych ludzi, oddzielonych od nas długim szeregiem wieków, — ku czemu innemu dążą twórcy sztuki nowożytnej. Ci nowi nie zawsze jeszcze rozumieni bywają przez swoją epokę; taki Rodin już lat kilkadziesiąt pracy mając za sobą, nie zdołał jednak przyzwyczaić ludzi do patrzenia na swoje dzieła. — Grek mawiał: z marmurowej bryły wykułem człowieka, — nowożytny artysta powiedzieć pragnie: pęd myśli mojej wcieliłem w kamień. To statyka i dynamika, — to z jednej strony uchwycenie tajemnicy oddania kształtu, — z drugiej — nagięcie kształtu tego do najsztubtelniejszego drgnienia duszy. — Tamta dawna prostota, — którą nauczyliśmy się już znać i cenić — ustępuje miejsca bardziej złożonym uczuciom i myślom; piękna forma przeszłości usuwa się przed nową — młodą, często niedojrzałą, nie zrównoważoną jeszcze; śmiałość główną jej cechą stanowi. — Na tegorocznej wystawie paryskiej — Rodin umieścił prace swoje w osobnym pawilonie poza wystawą właściwą. Tu skupione dzieła jego — objawiają niejako duszę artysty, pozwalają wnikać w jej głębię, wytworzyć syntezę twórczości mistrza. Wystawił nadto Rodin na widok publiczny rysunki swoje, szkice, pierwsze idee prac przyszłych. W nich widnieje najwyraźniej chwila poczęcia twórczego; chaos to często, karykaturalny na pierwszy rzut oka, ale tembardziej ciekawy, — to bowiem intuicyjny zawiązek myśli artysty, który w świadomości jego przybierze kształty właściwe dla wcielenia się w rzeźbę. — Poza rysunkami widzimy kilkadziesiąt rzeźb i szkiców w rzeźbie.

W. A. Schlegel powiedział, że kto zrozumieć pragnie tragedję grecką, użyć się w nią, a zarazem pojąć tych ludzi — co jej z zachwytem i uwielbieniem słuchali — ten patrzeć winien na rzeźbę grecką. Nawet obok każdego z wielkich poetów dramatycznych starożytności — postawił genialnego artystę rzeźbiarza; — Sofoklesowi odpowiada Fidiasz, Lysipp stoi obok Eurypidesa. — Gdybyśmy to zdanie znakomitego krytyka przystosować chcieli do sztuki nowożytnej — nigdzie podobieństwo utworu poetyckiego i rzeźby nie wystąpi jaśniej — jak w pracach Rodina i Stanisława Przybyszewskiego. Jeden i drugi z tych samych wrażeń czerpali natchnienie swoje, u jednych pili źródła życia, jedne ich dręczyły niepokoje i bóle, obydwaj jednakim ulegali złudzeniom! — Kto wziął do ręki jeden z utworów Przybyszewskiego, wie, że poeta przenosi czytelnika w kraj wizyj jaskrawych a zmysłowych, gdzie zaciera się różnica między wyobraźnią i rzeczywistością, budzi natomiast jakąś subtelną świadomość, jakąś nadczołość, narkotyczny nastrój! — U Rodina odnajdujemy też same motywy. Świat zmysłów stoi otworem, przerażając swą treścią i nieznana głębią. Też same uściski namiętne, sploty ciał gwałtowne, toż samo uplastycznienie gry zmysłów, opanowujących wszelkie władze istoty ludzkiej. Żądza ich nie-nasycona przemawia z każdego zwrotu Przybyszewskiego, widnieje w każdym naprężeniu mięśni u Rodina. Kobieta i mężczyzna, dwa wrogie sobie żywioły, lecz zarazem i dwie siły dopełniające się wzajem, — walczą na śmierć i życie, szukając czegoś, ku czemu ciągnie ich ta nieświadoma moc, którą czują w sobie, choć jej ogarnąć nie mogą. I nie upojenia samego, nie rozkoszy zmysłów tylko pragną te na wpół ludzkie postacie, poczynające się w skurczach bolesnych; zdają się w jakąś nieznana, tajemniczą przepaść wyteżać siłę wzroku, by ująć zagadkę. W pogoni tej roznamiętnionej, strasznej, bezwzględnej — jakiś ból również nieznany a silny i niezwalczony — spada na nie okropnym ciężarem. Ten ból i ta żądza namiętna — zlewają się w jedno, i w dzikim szale, z krzykiem bóleści, kłębią się ciała istot ludzkich, pędząc w nieskończoność wśród skowytu burz i huraganów, piekielnych śmiechów rozbrzmiewających dokoła, wśród gzyzgu ironji, dolatującej z przestrzeni. Czyta się książkę Przybyszewskiego i dręszcz bólu przebiega ciałem, patrzy się na te drobne grupy gipsowe francuskiego rzeźbiarza — tóż samo uczucie ogarnia. Obaj twórcy jakby tarzać się chcieli w cierpieniu, rozkoszując się bólem, jak szaleni własnymi rękoma rozrywają krwawiące rany, zdają się rzucać wezwanie nieznanemu, co duszę ich na wskroś przeszywa, A jeśli śmiać się chcą, głos im nabrzmie boleścią, bo czują jak słabi są, jak nieświadomości naigrawaniu przemódz nie mogą. Tacy oni słabi, bezradni, wobec tajemnic do-koła! Utonąć bodaj w tym nieznanym, zgłębić go, pojąć, opanować. Wiją się w szale zmysłów,

1) Wrażenia z r. 1900 — z teki pośmiertnej.

skurez bólu przenika im członki, — a świat z dawnej nie wychodzi kolei — i żaden promień nie przebija ciemności. — Gdy patrzę tak na nich — wydaje mi się, że jednak nie za upojeniem tylko dążyć chcą oni; nie za światem użycia lecą w przepaść bezbrzeżną, w toń, wysyłając ku nim spojrzenia gadu. To nie zmysły tylko, owa błutalna, zwierzęca strona ludzkiego istnienia, przykuwająca ku ziemi płaskiej, grubej, trywialnej prawie, — to nie droga zmysłów, pęd piekielny przeszywający bólem, owo gubienie się w otchłaniach, wyzywanie nieznanego do walki. — Krwawy ten, bolesny dramat, który wywołują oni i którego stają się smutnymi bohaterami — zwykle to i nieuniknione dążenie wśród ludzkiego gatunku, do szukania dróg innych, niż te co dotychczas spłotły istnienie. Niepokój miota ludzkością; pytania rzucone w nieskończoność — rozbrzmiewają echem donośnem; nierozwiązane zagadki bytu zdają się naigrawać z próżnych wysiłków człowieka. Artyści głos podnoszą ku niebu i brzmieniem jego chcą przerwać straszną sieć nieświadomości, by jakkolwiek odpowiedź wywołać. — Człowiek słaby — zawsze, zawsze się łudził. Zdaje mu się, że poza człowieczeństwem swoim odnajdzie co innego, coś, co jak Ibsen powiada: *neć i mam i*, co prze-czuwać dusza się zdaje. I tu artysta się rodzi i rozpala pochodnię, która oświeśla nowe roztocze. Precz wszystko znane, wszystko co tylokrotnie zawiodło, co nadzieją tylko złudną było, — nowych mi trzeba dróg, szukam, bo mam w sobie do poszukiwań siły, i taki noszę niepokój w sercu, że się zeń wyrwać muszę. Ścieżek tysiące wieść obiecuje w krainę pewności. Droga, którą wybrał Rodin — śnać wiele goryczy mieści w sobie; każde dzieło artysty dysze bólem i jakąś beznadziejną rozpaczą. Każdy mieśnię, w odtworzonych przez niego postaciach, drga boleśnie, i całe ciało wykrzyzcza pragnie nieść swoje. — W gorącej wyobraźni artysty powstają formy bólu, — wielcież je trzeba, objawić światu zewnętrznemu, więc dłoń pewną wykona w kamieniu to, co odczuło serce. — Drwi z uśmiechu życia, wie, że to złuda chwilowa. Po co ku słońcu wyciągać ramiona, poić się nadzieją gorących jego promieni, gdy noc czarna zachodzi i szatą swoją pokrywa wszelkie blaski? A jasność dnia tem jaskrawiej jeszcze ukazuje jątrzące rany; ból zda się dyszeć przyśpieszonym tempem; — ani go skąd wziąć więcej, ani go silniejszym uczynić. Poza bolesnemi postaciami — widać u Rodina twarze melancholji pełne, rozśpiewane w smutnej pieśni tęsknoty. To drobne ogniki tlejące powoli, rzucające niepewne słabe światło dokoła siebie; światelko drga, ciepła ani blasku nie daje, — pewnie zgaśnie niebawem. A po za nim i po za tymi co męki cierpią piekielne, — bieży świat zwykły, wre hałaśliwe codzienne życie milionów i szare tłumy przesuwają się po szerokich gościńcach. Wybrali utarte, stare ścieżki, nogi w wygodne zaopatrzili obuwie i uważnie idą, by ich o przydrożne nie ska-leczyć kamienie. Niezrozumiałe są dla nich prace artysty; czasem przystaną na chwilę, popatrzą z podziwem, czasem śmiechem pustym wybuchną — lecz nie długo, ża im straconej godziny, — śpieszą do życia codziennego. Tłumy nie wszystko zrozumieć są zdolne, wszak one same siebie nie ogarną pojęciem! W ich łonie kipią żywiołowe siły, ich serca targają namiętności potężne, wampiry i hydry krew im wysysają gorącą i takie straszne moce wzięły ich w posiadanie swoje! Szary tłum tak mało wie o tem! To wół wlokący się powoli w swem jarzmie, — spokojnie przeżuwa dołę własną i nie wie nic i ni-czego dowiedzieć się nie pragnie! — I tylko od czasu do czasu duch - objawienie przeleci nad nim, odczuje los jego gorzki i przemódz go zapragnie, bodaj bólem własnym pokonać, bodaj w własnem utopić sercu. I artysta objawienie swoje pokazuje światu. Ileż przemienie czczych godzin na ziemi, za-nim pojmą ludzie twór jego! — Wielką sławę zjednał Rodinowi jego posąg Balzaca; głowa nadnaturalnej wielkości osadzona na tułowi ledwie zaznaczonym w bryle kamiennej. Reprodukcie rzeźby tej po-wtarzały się we wszystkich ilustracjach świata. — Inny pomnik wystawił artysta Wiktorowi Hugo. Poeta siedzi nad brzegiem morza zasłuchany w grę fali, nad nim unosi się geniusz natchnienia. Zadziwia przy pomniku tym pomysł artysty. Przedstawił poetę nago, — a my przywykliśmy do oglądania wyo-brażeń współczesnych nam prawie ludzi w sukni poważnej, lub todze rzymskiej. — Często zgrzyt ironji odzywa się z dzieł Rodina. Oto Bellona, kobieta w starożytnym hełmie, zwycięska z tytułu, a z tak boleśnie wykrzywną twarzą. Tu znów „Geniusz wiecznego pokoju“ zdruzgotana postać pozbawiona ramion, którymi może ku niebu rzucał wezwania: teraz milczy: — pokonany, bezsilny — nowej nie rozpocznie walki. „Wieczne bożyszcze“ mężczyzna chowający zboliałą głowę na łonie kobiety: wie, że to bóstwo, co mu rany krwawe zadawać będzie, lecz niepowstrzymaną party siłą idzie ku niemu, gdzież indziej pójść by mógł dzisiaj? — Wśród tych obrazów cierpienia i bólu jasno odbija rzeźba Rodina: „Wieczna wiosna“, tak pełna spokoju i harmonji duszy, jak gdyby nie wyszła z pod dłutą tego samego artysty. Śnać wśród ostrych, przenikliwych tonów napełniających mu serce — złoży się czasem melodyjny

akord i znajdzie artysta siłę przedstawienia tych dwojga idyllicznych postaci splecionych uściskiem szczęścia. — Po za tem tło bólu i grozy przedstawione z siłą niezwykłą i niezwykłą śmiałością. Rodin pokonać może trudności największe, starczy mu talentu, by usunąć przeszkody — myśl swą wyrazić. — Zowią go jednym z największych rzeźbiarzy epoki, lecz to poeta i myśliciel zarazem, podzwierciadlający w sobie udręczenia ludzkości.

MARCELINA KULIKOWSKA.

U POETÓW.

Przez współczesną „młodą” Rosję, która się skupiła około Gorkiego i Andriejewa, już do starszej generacji zaliczany i całkiem niedoceniany *Dmitrij Sergiewicz Miereżkowski* urodził się 1866 r. Najwięcej znanym jego utworem, to słynna trylogia powieściowa, w której przedstawia Chrystusa i Antychrysta w pochodzie dziejów wazachwiała: *Julian Apostata* (banita) *Leonardo da Vinci* (odrodzenie bogów) i *Plotr i Aleksy* (Antychryst). Daleko większym uznaniem, aniżeli powieściopisarz cieszy się Miereżkowski, jako krytyk, bezwzględnie najgłębszy, najsumienniejszy i najwięcej kulturalny wśród krytyków rosyjskich! Stoi co prawda pod przemożnym wpływem Nietzschego, ale to mu nie przeszkadza być na wkróś oryginalnym, a nikt tak nie zgłębił duszy rosyjskiej do samego dna, jak on właśnie w swym dwutomowym dziele: „Tolstoj i Dostojewskij jako ludzie i artyści”, a przedewszystkiem w drugim tomie tego dzieła: „Religia Tolstoja i Dostojewskiego”, chłoscząc tu bezліtośnie racjonalizm Tolstoja, wykazuje całą nicotę rozumowania Tolstoja, analizuje niemilościwie jego etyczne i religijne ideały, przeciwstawia im wielką i mistyczną religiję Dostojewskiego, płynącą z najgłębszych i najświętszych źródeł duszy rosyjskiej. Rozwija w tej książce zarazem swoje własne *Credo* religijne, w płomiennych słowach głosi duchowe odrodzenie Rosyi i z świętym gniewem rzuca się na jej współczesną bezwiarę, gnuśność duchową i jej bezmyślny ateizm.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pani S. O. w P. Żąda Pani wyczerpującej oceny nadesłanej nam książki „Buddyzm” Dr. Jana Czują (Nakładem Księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu 1917) z uwzględnieniem załączonych uwag i zapytań. Życzeniu Pani w całej pełni zadość uczynić nie możemy, gdyż trudno nam poświęcić wiele miejsca w piśmie naszym książce bezwartościowej i „naiwno-tendencyjnej”, jak ją Pani sama określa. Książka ta to zbiornik fałszów i przekręcań, których autor dopuszcza się, licząc najwidoczniej na zupełną nieznaną tematu u czytelnika. Autor, poczuwający raz chęć „polemizowania” z Buddhą, chwytą się broni w życiu pospolitem najwygodniejszej t. j. wydrwienia, wyzydzenia i ośmieszenia prawdy i przykazań głoszonych przez buddaistów, prawd nawet takich, które niemniej za święte prawdy w nauce Chrystusa uznane zostały i świata chrześcijańskiemu podane.

Dla charakterystyki zanotujemy tu jedno z twierdzeń wymienionej książki, które dobitnie odsłania jej bezwartość. Autor zaniekpokojony identycznością niektórych prawd buddaistycznych z prawdami chrześcijaństwa, próbuje wyznawcom Buddhy insynuować najwiecej plagiat; pisze bowiem: „Wiemy już, że najstarsze źródło buddystyczne, „*Lalita Vistara*”, jest młodszym od

naszych ewangelii; dlatego nic dziwnego, że mogły się dostać do księgi buddystycznej szczegóły naszego Pisma św.” Tak wiedzieć chce Dr. Czuj. Istotni zaś znawcy buddaizmu zgodnie podejają zgół odmienne wyniki swych badań, a mianowicie, że najstarszem, dziś znanem źródłem jest „*Maha parinirwana sutta*,” które pochodzi z IV wieku przed Chr., czyli sto lat po śmierci Buddhy spisane zostało a wydane w całości przez król. azjatyckie towarzystwo angielskie i przetłomaczone przez znawców sanskrytu i ducha nauki.

Gdzieindziej pisze Dr. Czuj:

„W dziedzinie łaski i życia nadprzyrodzonego nieprzeliczona gromadzie Świętych, których nam Kościół stawia jako wzory doskonałości, jako ideały etyki, nie może starszy o pięć wieków buddyzm przeciwstawić ani jednego.”

Widocznie nasz badacz buddaizmu nie słyszał nic o największych z pośród praelicznych świętych i cudotwórcach jak: *Tissu i Son-ka-po*.

Książkę Dr. Czują charakteryzuje wreszcie naciąganie dowolne liczby wyznawców Buddhy, którą to liczbę po najprzeróżniejszych algebraicznych koziołkach ustala na 120 milionów, przeciwstawiając się obliczeniom wielkich badaczy, którzy stwierdzają 500 milionów wyznawców Buddhy, czyli 37% ludzkości.

Poprzestajemy na kilku tych wskazaniach, nie czując ni ochoty, ni możności zagłębiania się w mielizny wspomnianej książki.

Badania tendencyjne, czy z słachetnych, czy z niskich płynące pobudek, nie wyświetlają nigdy kwestyi, ale je zamulają swą intencją i oddalają od prawdy.

Polecić możemy Pani książkę A. L. Laymana p. t. „*Gautama Buddha i jego nauka*” (Kraków 1913, Księgarnia literacka, Szewka 11) oraz autentyczne przemówienia Buddhy w tłumaczeniu niemieckim p. t. „*Die Reden des Gotama Buddhosa*” tłum. K. E. Neumann (nakładem R. Piper'a w Monachium).

KSIAŻKI NADESLANE.

Włodzimierz Perzyński. *Opowiadania niezwykłe* (przyczodobil Jan Wroniecki). Poznań 1917. „*Ostoja*” Spółka Wydawnicza. — Juliusz Tenner. *Podręcznik sztuki czytania*. Lwów. G. Seyfarth. — Marcelina Kulikowska. *Z dziełowej duszy*. Kraków. Spółka Nakładowa „*Książka*.” — Marcelina Kulikowska. *Barwy duszy*. Kraków. Spółka Nakładowa „*Książka*.” — Wacław Grabiański. *Plekto* (szkice z wojny). Kraków, 1917, L. A. Krzyżanowski. — Dr. Med. Alfred Sokolowski. *Wielkie księgi społeczne i walka z niem.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Edward Słoiński. *Ta, co nie zginęła...* (wybór wierzy o Polacu, o wojnie i o żołnierzach) Warszawa. Gebethner i Wolff.

PISMA NADESLANE:

Tygodnik ilustrowany. Nr. 52. Warszawa 1917. Treść: „*Rozwój kultury polskiej*” Adam Grzymała-Siedlecki. *Pozycja i proza kawiarenka*, Feliks Przywiecki. — *Nowy przekład Ewangelii*. Ks. Józef Archutowski. — *Lenin*. — *Wiedź Kościuszkowska*. *Pierwsz Galicyan* (powieść). Władysław Łoziński.

„Ostoja“ Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, plac Wilhelmowski 17
poleca swe wydawnictwa:

J. Kasprowicz:

Sita, Indyjski hymn miłości 5²⁰

T. Konczyński:

Raj odzyskany 5⁴⁰

A. Nowaczyński:

Polaski w Ameryce 6⁵⁰



Teodor Tyc:

Facecje z dawnej Polski 3⁰⁰

Ks. Szydelski:

Kult ogniska domowego i przodków 1⁰⁰

Bernard Chrzanowski:

Z wybrzeża i o wybrzeżu 2⁰⁰

Wiktor Gomulicki:

Pamiętki Kościuszkowskie 4.80 mk.

Skład główny na Król. Polskie w Warszawie **Gebethner & Wolff.**

Skład główny na Galicję w Krakowie **Gebethner i Spółka.**

Stare

wina węgierskie

szlachetne krescencje magnackie i nadworne

w 1/2 butelkach i w 1/2 gąsiorkach.

- | | |
|-----------------|-------------------------|
| 1) " 1848 | nr. 20. Słodki Tokaj |
| 2) " 1863 | 17. Stary Tokaj nadw. |
| 3) " 1866 | 18. Słodkawy Tokaj |
| 4) " 1868 | 20a Lekki słodki Tokaj. |
| 5) " 1876 | 3. Stary Tokaj nadw. |
| 6) " 1876 | 14. Stary Tokaj nadw. |
| 7) " 1880 | 22. Stary lekki Tokaj |
| 8) " 1883 | 19. Stary Tokaj |
| 9) rocznik 1889 | 8. Stary Tokaj. |
| 10) " 1901 | 10. Stary lekki Tokaj |
| 11) " — | 4. Stary słodki Tokaj |

B. Kasprowicz

w Gnieźnie.

Nowości zimowe

Kostiumy	od 30 do	550 M.
Spódnice	15 "	190 "
Ulstry	38 "	360 "
Paletoty aksam. i plusz.	90 "	1200 "
Suknie	60 "	300 "
Bluzki	18 "	100 "
Halki	12 "	80 "

Płaszczki futrzane, Futra
sportowe od 200 do 2000 M.
Garnitury futrzane
od 60 do 1400 M.

M. MALINOWSKI

Najwięk. specjalny magazyn okryć damskich
Poznań, Stary Rynek 57, parter i I piętr.

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoły	Kotnierzyki	Rękawiczki	Trykoły
Haiki	Kotnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

W. MIZGALSKI Poznań - Bazar

Magazyn blawatów, konfekcyi damskiej i futer
poleca na sezon zimowy

Gotowe futra

- „ garnitury futrzane
- „ płaszcze
- „ kostyumy
- „ suknie
- „ szlafroczyki
- „ bluzki
- „ czapki sealowe

Własne pracownice

skunkasy, seał bisam, oposum, bobry, nutria,
karakuły, fzebce, popielice, bieliski, chinchilla,
gronostaje, sobole, nurki, tomaki, wilki, lisy
białe, patagonskie, mongolskie etc. w wielkim wyborze

Udziela się lekcyi

i estetyki żywego słowa.

Gdzie?

Wskaże administracya „Zdroju.”

L'Eroica

Dir. E. Cozzani

La Polonia

Wydanie wytwornie ilustrowane i barwnymi drzeworytami przyozdobione.

Cena 25 mk.

Do nabycia w „Ostol.” Poznań, plac Wilhelmowski 17.

Fortepiany, pianina i harmonia.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Berdixa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Hordgla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktoryi 19
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

